ROK II. Nr. 28 (77) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 13 lipca 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



GEOMETRJA SPORTOWA (fot. Metro).

JERZY SOSNKOWSKI, inż.-arch.

WYGLĄD MIAST



„Jak cię widzą, tak cię piszą" — oto jedno z najgłębszych, bo najprawdziwszych przysłów ludzkości. Odkąd bowiem ona istnieje, istnieje problem „reprezentacji", począwszy od dzikusów, wtykających sobie kamyki do nosów, — skończywszy na królewskich pompach i modzie.

— — — — — — — — — —

Reprezentacja nie kończy się na ludziach. Prawu temu podlegają nawet przedmioty. W pierwszym rzędzie—miasta.

Znane są ambicje mieszkańców — uważających miasta rodzinne za najpierwsze, najpiękniejsze na globie.

Zadziwiająca jest ofiarność rozwijana równolegle do chęci zadośćuczynienia tym ambicjom. Zapisy, dotacje, fundacje dla „miast rodzinnych" są zjawiskiem pospolitem.

Był okres w życiu Kopenhagi, kiedy mieszkańcy tego ślicznego miasta zachorowali na pasję zdobienia go wieżycami, co zdało im się upiększeniem bez konkurencji. Zaczęły się zawody: kto większą, bogatszą, piękniejszą wieżę ufunduje. Miasto wyszło na tem jaknajlepiej: zowie się dzisiaj miastem wież. I jakież one są pyszne! Jakie piękne, choć nieraz dziwaczne!

Ludwiki wznosili gmachy — stanowiące szczyt perfidji architektonicznej tej bogatej epoki. Napoleon burzył w Paryżu całe dzielnice, wystrzygał w nich polany i wzdłużne golizny, by wznieść tam nowe, wspanialsze. Nowoczesność zohydziła poezję starych murów i gmachów koniecznością życiową: reklamą. Ale połapano się wkrótce, że stać się ona może ozdobą, jeżeli robiona będzie umiejętnie i przez odpowiednich ludzi. Zaprzężono do tej służby światło — i nowoczesne miasta lśnią wieczorami miljonami świateł, ułożonych w przedziwne rysunki i wzory: reklamy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Współczesność, która operuje ilością, masą — stworzyła konieczność ujęcia tych rzeczy w pewien wątek, system i ład. Inaczej, miasta i ich architektura ginęłyby pod zalewem, powodzią wszystkich wyczynów kupieckich potrzeb. Miasta, które się w czas zorjentowały, potrafiły zachować konieczny umiar i należyty kierunek w sporządzaniu znaków i urządzeń reklamowych, — nie naruszających piękna architektonicznego, — przeciwnie, nierzadko podkreślających je i jakby uzupełniających, — pomagających do wydobycia ich czaru i powagi.

— — — — — — — — — — — — — — —

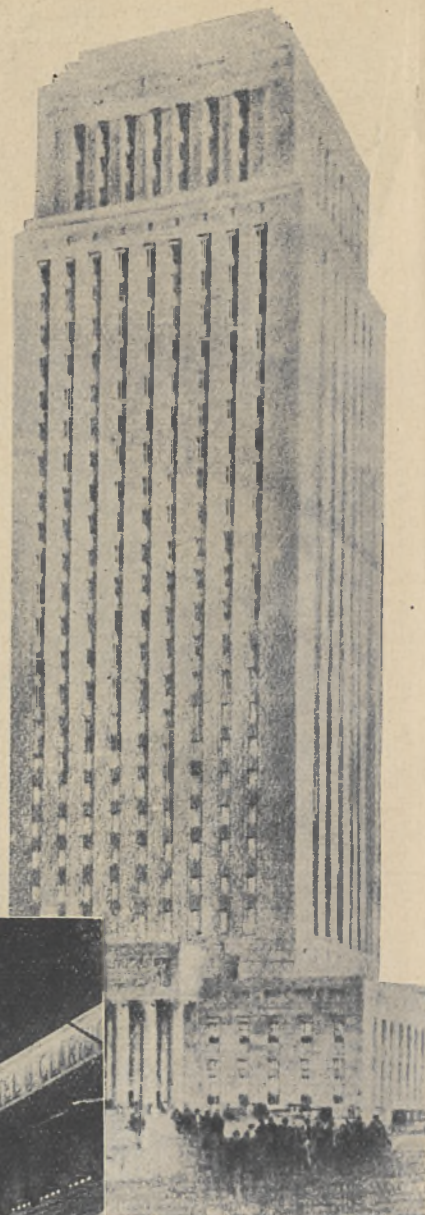
Naturalnie, chodziło tu również o sprawy, głębiej sięgające w istotę człowieka. Zorjentowano się we wpływie, jaki codzienne otoczenie i jego charakter wywiera na charakter i usposobienie człowieka, zmuszonego do stałego przebywania w danem miejscu, i jako pochodne, skutkach tego wpływu na wydajność i rodzaj jego pracy. To, co zdało się być rzeczą uboczną, w życiu mas, we współczesnem życiu zbiorowem, stało się pierwszorzędnem zagadnieniem, blizko podchodzącem do zagadnień filozofji i psychologji ludzkiej. Problemy urbanistyczne, wyłonione pierwotnie z potrzeb czysto zewnętrznej utylitarności, weszły w dziedzinę abstrakcyjnych, lecz niemniej, albo i więcej od tamtych ważnych rozwiązań. „Wygląd" miasta, jako miejsca, gdzie rozwija się i kształtuje zbiorowa i indywidualna twórczość ludzka, oprócz „reprezentacji" i wygody — nastręczy kwestje tego właśnie „wpływu" na ewolucję pojęć, we wzrastających tam organizacjach psychicznych, — i skutkom stąd powstałych. Miasta z punktu widzenia ich wyglądu, poczęto dzielić na miasta „pracy", „zabawy", miasta, wywołujące i powodujące swą zewnętrznością pewne „stany" w człowieku, w zależności od których stanęła ich cała działalność. „Kwestja" zaczęła nabierać cech pierwszorzędnej wagi.

— — — — — — — — — — — — — — —

Powstały więc instytucje, złożone z ludzi fachowych, zajmujące się temi sprawami, regulujące je, trzymające w mocnych cuglach „zewnętrzną gospodarkę" w mieście. Błogosławione owoce owej pracy znać doskonale w Europie: jej miasta doskonale oprawiły swoje klejnoty architektury w ramy nowoczesnych urządzeń, wydobyły na wierzch zaśmiecone „potrzebami życiowemi" piękno, ujęły konieczności codziennego życia w pewne karby i formy

(Dokończenie na str. 16-ej)

Stara uliczka w jednem z najpiękniej rozbudowanych miast — w Sztokholmie (na lewo).

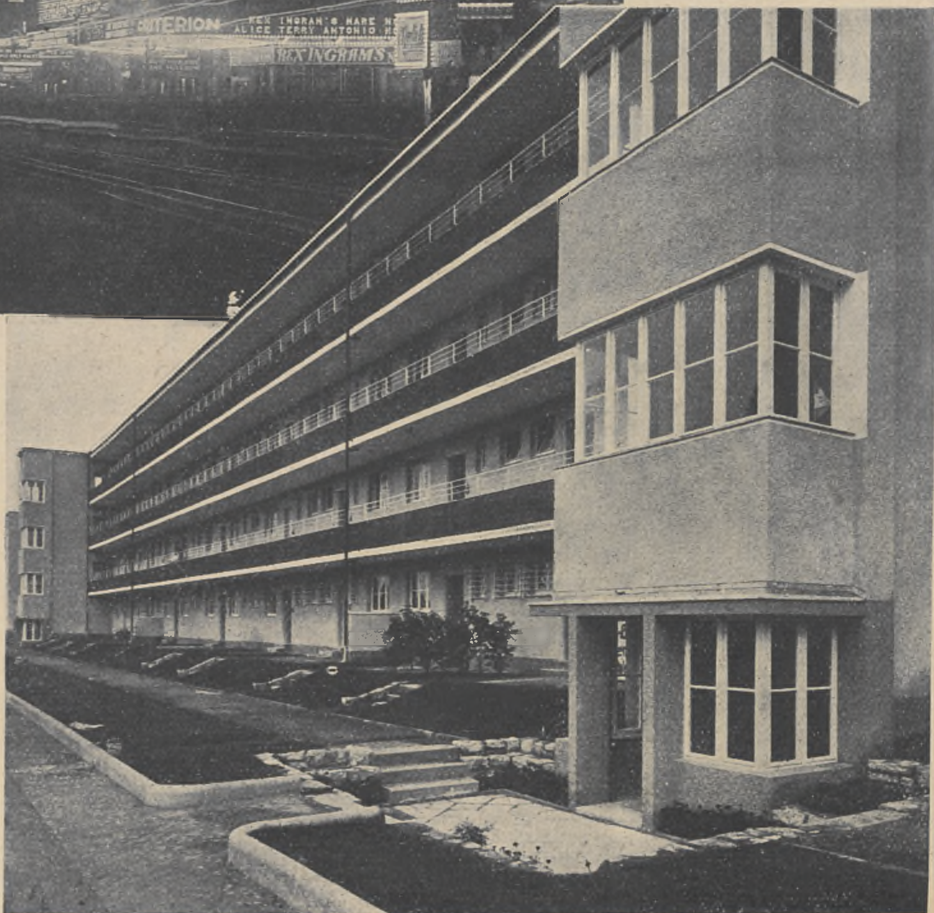


Gmach głównej komendy policji w New Yorku.

Osiedle podmiejskie w Berlinie (u dołu).



Broadway w nocy.



Doroczna wystawa w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych

Prawdziwie trudnem jest uczenie artyzmu.

Trudność jest jasna: chodzi tu przecież nie o nauczenie tak zwanego „fachu", ale o (mówiąc podniośle) przypięcie skrzydeł, — o to, żeby, wprowadzając w sprawy rzemiosła, nie obciążyć zapału, ale go podeprzeć, a — co najważniejsze — nie nauczyć ucznia całożyciowej zależności twórczej od mistrza innemi słowy, nie mnożyć naśladowców.

Szkolne nauczanie sztuki — to wielkie utrudnienie w pracy nad poszczególnym studjującym, a, tem samem, wielkie ułatwienie w uogólnianiu zagadnień, schematyzowaniu wskazówek i — ucznia.

Szkoła Sztuk Pięknych w Warszawie, jako uczelnia wyższa, rozporządza, naturalnie, rozumnym, ale niebezpiecznym systemem semestralno-zaliczeniowym, opartym na najzupełniejszem założeniu przeprowadzenia studenta przez początki rysunku, malarstwa, rzeźby, sztuki stosowanej, poprzez najszerzej pojętą wiedzą plastyki, więc: historja sztuki, nauka perspektywy, chemja malarska i t. d., i t. d., aby wreszcie, przygotowany wszechstronnie, potrafił wypatrzeć własną drogę i w drugiej połowie studjów wyszkolił właśnie artyzm czy to jako malarz olejny, czy jako grafik, dekorator, rzeźbiarz.

I tu odpowiedzią na wszystkie obawy jest doroczna wystawa.

Nie mówię już o tem, że jest ona zawsze niezawodna i jedyna w swoim rodzaju jako ogrom; rozmaitość dzieł wystawionych, że wymienię malarstwo stalugowe i ścienne, grafikę, rzeźbę, rysunek, ceramikę, projekty monumentów, reklam i wnętrz, kilimy i makaty, meble, metalowe cacka i witraże; ale najważniejszem jest to, że profesorowie tej uczelni, pomimo ogromnie utrudnionych warunków, stoją prawie wszyscy na wysokości zadania, że wystawa jest znakomitym owocem wspólnego wysiłku talentów i profesorów, i uczniów!

Metoda pracy pedagogicznej, polegająca na indywidualizowaniu ucznia, hodowaniu w nim własnej odrębności i raczej podpatrywaniu i podpieraniu jego założeń, niż narzucaniu mu własnych, metoda raczej *pomocy*, niż *kierownictwa* zwycięża całkowicie. Uczeń przestaje być naśladowcą swego mistrza i staje się niezależnym twórcą!

Najświetniejsze wyniki osiągnęli pedagodzy: Pruszkowski, Skoczylas, Breyer, Kowalski w urabianiu takich talentów, jak: Obrębska, Taranczewski, Pietkiewicz, Weinlesówna, Topolski, Strynkiewicz, Simonówna, Jurkowski, Frydman, Żyw, Zielenkiewicz, Cukierówna, Nadelmanówna, Poczmański, Henneberżanka, Kuczborska, Manteufel, Wajwód, Linke, Lorentowiczówna, Seidenbeutel, Telakowska, Korsowski, Życzyński, Żuławski — trudno tę listę zamknąć, a ciągnąć należałoby ją aż do stu najmniej nazwisk! Brawo!

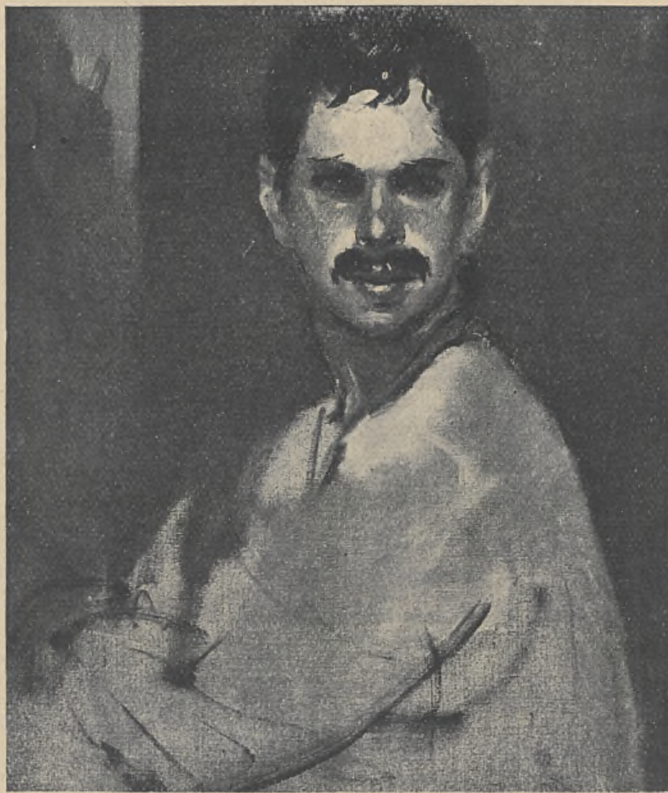
C. T.





Z pracowni prof. Pruszkowskiego: u góry — portret T. Topolskiego, na lewo — dyrektor Szkoły prof. Pruszkowski (od lewej 3-ci) z uczniami (na ścianie prace F. Topolskiego); u dołu — autoportret Al. Żywa i kompozycja Z. Jurkowskiego.





ZYGMUNT KAWECKI.

FELJETON O FELJETONIE

Słodko do czytającego: Powiedzenia zamknięte ramkami, to prywatne, intymne prośby autora feljetonu — do społeczeństwa.

Słówko do redakcji: Za te prywatne interesa do społeczeństwa, drukowane w międzytekście, proszę mi nie potrącać nic z honorarjum.

Proszę nie myśleć, że odciąwszy w piśmie jakowemś paseczek od dołu, nożyczkami—odrazu mam do czynienia z „feljetonem".

O nie! to dopiero „odcinek". Aby tę amputację nazwać feljetonem — na to trzeba wielu dodatków — z pośród których idzie na czele... przeczytanie niniejszych wywnętrzeń.

Kiedy redakcja odstępuje autorowi feljeton — czyli innemi słowy, kiedy oddaje mu to świetne miejsce — do pokazywania intelektu, oznacza to indentycznie to samo, jakgdyby mu powiedziano:

— Odstępujemy Szanownemu Panu w naszym pałacu duchowym, najpiękniejszy salonik recepcyjny. Prosimy! Niech się pan rozgości — i pokaże, co umie.

Wtenczas literat sprowadza się, jako szczęśliwy i uhonorowany sublokator, do swojego krótkoterminowego, bezpodzielnego mieszkania — i zaczyna w niem objawiać swoje talenty, swoje pochodzenie — swoje wychowanie, swoje przekonania, swoje manjery — zwyczajnie jak pan domu, w swoim domu.

W feljetonie tedy, jak w mieszkaniu — może być albo czysto, przewiewnie, ze smakiem i węchem — albo też nieporządnie, bez sensu i związku — i nawet z jakiemiś zapaszkami. Idąc dalej, można powiedzieć — i nawet napisać, że w feljetonie, jak w mieszkaniu, można kogoś oczarować, uwieść, przegadać, przekrzyczeć — nakarmić, wygłodzić, wyziębić albo przegrzać. W feljetonie można nawet gościa swego — upić!

Jedynym autorem — amfitrjonem, który w swoich feljetonach *sam tylko* pije — i *sam się tylko delektuje*, winem — choćby mówił o świętych pańskich — jest Kornel Makuszyński. Ale on to umie godzić jedno z drugiem — i lubiany jest na prawo—na lewo— i centralnie.

Ale wracamy do mieszkanka, czyli do feljetonu.

Zauważyliście może, że w odcinkach, a czasem w feljetonach — znajdują się (co parę kroków) *gwiazdki* (czyli asteryki). Te to gwiazdki rozdzielcze pełnią w feljetonie taką rolę, jak parawany w pokoju: jedno pomieszczenie rozmnażają na apartamenty. Tak więc, w czasach dzisiejszej nędzy mieszkaniowej, obyczaje ze sfery kamienicznej przeszły do dominium literatury i bardzo często się zdarza, że kiedy autor feljetonu nie może wszystkich swoich gości, albo klijentów, w jednem miejscu wyregulować, to rozdziela ich asterykami i tam już każdego oddzielnie, za parawanem, urządza.

* * *

Prośba do Pana I. K. Niedawno temu powiedział mi Pan na ulicy, koło baru „Satyr" — że przestał Pan pić. Ta część mego feljetonu, oznaczona trzema gwiazdkami (jak ś. p. koniak, który już dla Pana umarł) — poświęcona jest wszystkim bojownikom o abstynencję.

* * *

Teraz następuje właściwy feljeton.

Od lat całych przypatruję się połykaniu ognia przez ludzi wszystkich zawodów, na wszystkich miejscach — i o wszystkich porach dnia i nocy. Połykanie tego, najżywszego ze wszystkich ogni ognia — odbywa się dobrowolnie, bez żądania podziwu i aplauzu — a nawet z dokładaniem do interesu.

Płynny ogień ten, wydobyty jako ostateczna i najistotniejsza treść świata roślinnego — jest właściwie ogniem *wegetarjańskim* i — przyjmowanie go powinno się zaliczać do chwalebnych funkcji ascetycznych. Ażeby ogień ten z przyrody wyciągnąć, nie trzeba zabijać, nie trzeba przelewać krwi. Po prostu: szara, poczciwa ziemia rodzona oddaje roślinom swe soki i chemje — a już rzeczą człowieka jest poddać te soki i chemje takim preparacjom i maceracjom, aby wydały płynny ogień, który to pierwiastek, jak wiadomo, w prymitywnym swym kształcie, przyniesiony był z nieba.

I tu mnie zastanawia niekonsekwencja rodzaju ludzkiego! Wegetarjanie — i wogóle, ludzie wyglądający podejrzanie — nietylko odżegnywują się od tej kwintesencji wegetarjańskiej, od tego ognia ogni — ale chcieliby, aby cały świat wyrzekł się go.

Trudno jest to pojąć! Gdyby ten pierwiastek ognisty wydobywano z juchy zwierząt dzikich, albo z zimnej krwi ryb i płazów — możnaby zrozumieć zacietrzewienie wegetarjanów. Ale z czegoż się, u Boga Ojca — pędzi ten żar? Z niewinnych wegetacji kartoflanych, zbożowych, ryżowych. Więc dlaczego taki gwałt? Czy jest co niewinniejszego od roślin? Chyba woda! Ale woda jest elementem hygjeny zewnętrznej.

Aliści ludzkość, wydobywszy ten pożar z roślin— nie chciała robić krzywdy i wodzie — i nazwała ten ogień — wspaniałomyślnie — *Wodą Życia — Aqua Vitae!* A powoli, po dłuższem z nią pożyciu, spieściła wodę na wódkę — wódkę na wódeczkę, a potem, w kolejności różnych pieszczot, doszło się do sznapsa, czystej, alembiku i t. d., tak, że nikt z szanujących się przyjmowaczy *Wody Życia* nie powie dziś do brata: — Tata, — idziemy na wódkę! — tylko: — Idziemy na jednego!

W ten sposób — „jeden" — skromny liczebnik — i to początkujący, bo zaczyna system, podniesiony został do godności metafizycznej! Sprawiedliwy zaś naród przyjmowaczy *Wody Życia* — nie ma zwyczaju i serca, poprzestawać na samotnym *jednym*, bez dodawania mu następnych *jednych* — i w ten sposób tworzy się nowa arytmetyczna karjera „jednego".

Przy bliższem przypatrzeniu się zarzutom, stawianym naszemu ogniowi, przyjmowanemu jako *Woda Życia* — można, w przystępie zdolności, zauważyć — że — choć ekstrakt ten nie jest wydobywany z bestyj i gadów — to jednak czyni często tliwie z człowieka, jakgdyby ekran, na który działająca w środku esencja wegetarjańska, rzuca obrazy zwierząt kręgowych, stworzonych *przed* człowiekiem, ale wyłażących z niego w chwili, gdy stworzenie ludzkie, zmienia się w nieboskie.

Na razie może niejeden — z dobrym skutkiem stwierdzić sam na sobie, że przy bardzo gorliwem przyjmowaniu „Wody Życia" — wydostawają się na powierzchnię jego witualności przeróżni przedstawiciele świata fauny.

I tak:

Pan A. — zamiast powiedzieć: „proszę o jeden większy z kroplami" — może słusznie wyrazić się:

— Proszę o kieliszek Lwa! (gdy jest wykończony, ryczy);

Pan B. — może wyrazić się sprawiedliwie:

Proszę o kieliszek Osła. (Osłem jest i przed wypiciem — ale dopiero po wypiciu ryczy).

Pan C. — może z doskonałą weredykcją wyrazić się:

— Proszę o kieliszek Jelenia! (gdy ma zadużo, ryczy — i w dodatku jest żonaty).

To wszystko byłoby jeszcze pół biedy — czyli pół fauny.

Największą część przedstawicielstwa jej wzięli na siebie ci, którzy, prosząc o „jednego" — reprezentują z umiłowaniem tylko jedno domowe stworzenie. Ten kontyngent ultrawielbicieli „Wody Życia", miast mówić: Proszę o jeden większy, wzmocniony — może wyrazić się z naukową ścisłością, do kelnera:

— Proszę o kieliszek świni

* * *

A propos!

Prośba do jednego pana. Urżnięty nie prowadź auta, tylko każ się — zgóry — w takich wypadkach zachloroformować przez własnego szofera.

* * *

Tyle razy, stojąc przed lustrem, z rana, powiadałem sobie, że historja naturalna, powodowana u nas przez działanie ekstraktu wegetarjańskiego — to jeden z najdziwniejszych fenomenów i paradoksów! I gotów byłbym, dalibóg! wypić ekstrakt ze zwierząt dzikich, aby pod jego działaniem zmienić się w rośliny, krzewy i kwiaty — aniżeli pić wyciąg królestwa Flory — i zmieniać się w bestyjstwo.

Pod finał feljetonu może ktoś zapytać:

— No dobrze, —ale dlaczego autor feljetonu, tyle mówiący na początku o wychowaniu i prowadzeniu się — skończył na sznapsie?

— A właśnie! Aby trudniej było zgadnąć.

OR-OT.

LIPIEC

Szumi na niwie zboże,
Szumi jak wielkie morze,
A między zbożem chodzą
Białe anioły Boże.
Chodzą anioły z nieba,
I liczą, jak potrzeba,
I w sobie się radują,
Że będzie dosyć chleba.

Przepiórki czynią gwary,
Mignie zajączek szary,
I w bruździe się przyczai
Uszaty tchórz bez miary.
A wróble się zlatują,
Świergocą i rajcują,
Złociste skubiąc kłosy,
Zawzięcie sejmikują.

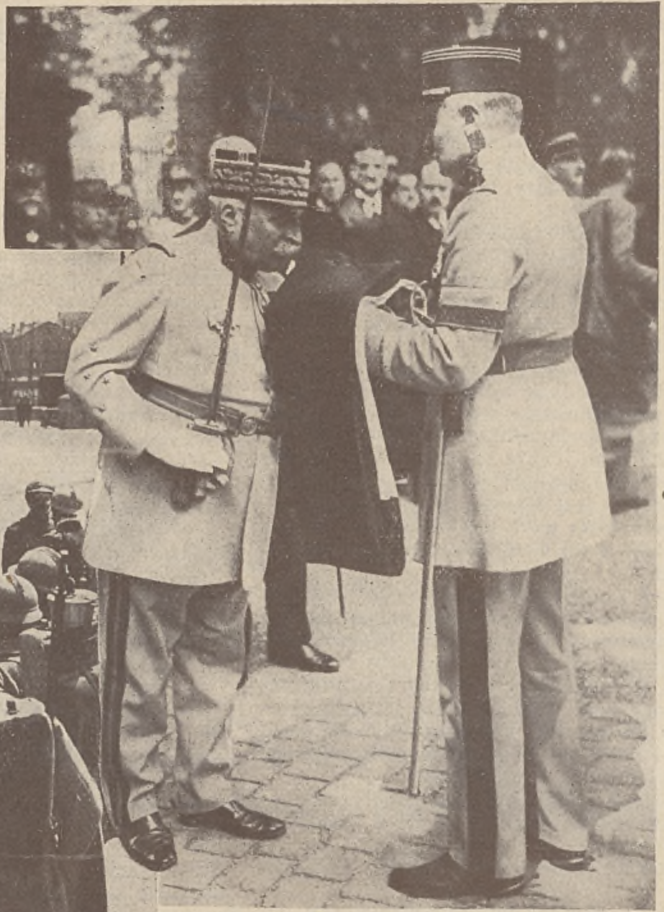
Cieszy się ziemia cała,
Że plonu doczekała,
Że dzieci swe nakarmi,
Jak matka doskonała.
I człowiek, i ptak Boży,
Niech jeno biegną skorzej,
Mać — ziemia wszem stworzeniom
Skarbony swe otworzy.

Hej! leci pieśń w niebiosy,
Hej! dzwonią ostre kosy,
Hej! drżą na ciepłym wietrze
Dostałe ciężkie kłosy.
Pod sierpem łan się kładzie,
Pracują żeńcy w ładzie,
A Bóg z błękitu nieba
Śmieje się ku gromadzie.

Zajączek szary zmyka,
Ćma wróbli: fort z sejmika!
I dzwoni skowrończana
W lazurze gdzieś muzyka,
Piosenkę wszczęła dziewka,
Wtór daje młodzież krewka.
Na bory, hej! na lasy
Mazurska leci śpiewka...

Dalszy ciąg nastąpi...





B. Głównodowodzący Korpusu Okupacyjnego Nadrenji, Gen. Guillaumat całuje barwy narodowe, które opuszczono z zamku w Moguncji w chwili ogłoszenia definitywnej ewakuacji.

Ostatnie kompanje francuskiego Korpusu Okupacyjnego zajmują miejsca w eszelonie, którym odjadą do Ojczyzny.

Podczas gdy większość opinji francuskiej nie ukrywa swych obaw z powodu ewakuacji Nadrenji — w Berlinie i w całej Rzeszy rozpoczęto tryumfalne pochody i święta oswobodzenia Renu.

Jeszcze jedna karta w dziejach Europy została odwrócona, rozdział skończony — a dalej.... dalszy ciąg, konsekwentnie wiążący się z poprzednim rozdziałem i oby tylko jeszcze nie tym, w którym rozpoczyna się nowa akcja.

Bo stało się to, co Foch nazwał zbrodnią wobec Francji, przewidując w ostatnich latach swego życia, iż sprawę bezpieczeństwa wkrótce przefrymarczą — za byle co, za ten czy inny świstek papieru.

Bo stało się, iż drogą stwarzania precedensów ustępstw, dojdziemy wnet do rewizji traktatów, do zburzenia wszystkiego, co okupiliśmy krwawą ofiarą.

Bo stało się, iż granicami Francji, jak mówi Herve są z jednej strony Belgja, z drugiej Hiszpanja, a na wschodzie — ODWET.

Najlepszą gwarancją pokoju był Ren. Ustąpienie z tej linji Niemcy uważają za równoznaczne z oddaniem im swobody.

Z jednej strony, w czasie przeszłym rozlega się hymn: *„Nous l'avans eu, le Rhin allemand* — z drugiej strony rozbrzmiewa radośnie: *Deutschland, Deutschland über alles!...*

W Paryżu — pod Łukiem Tryumfalnym, b. głównodowodzący korpusem okupacyjnym Nadrenji, gen. Guillaumat, pochylony nad Grobem Nieznanego Żołnierza, jakby akt skruchy spełniając, rozpala znicz... W Berlinie, na stadjonie tysiączne tłumy radują się widokiem łopocących sztandarów i upajają się dźwiękami hymnów wojennych... Nad granicą polską — Hindenburg spogląda wdal, pogrążony w zadumie

nad dalszym ciągiem, który wszak musi nastąpić...



Gen. Guillaumat i Wysoki Komisarz rządu francuskiego, Tirard, na dworcu w Moguncji. Na drugim planie — „szupo" niemiecki.



Wślad za ustępującemi z terytorjum okupacyjnego wojskami francuskiemi wkraczały wojska niemieckie. Dziś Nadrenja — jutro Saara — a co dalej?...

RICHMAL CROMPTON.

Szczęśliwe miniatury

NOWELA.

Miss Felicja Harborough rozparła się w przedziale trzeciej klasy. Uśmiechała się wesoło na myśl o wspaniałym kawale, który tak znakomicie zapowiadał się.

Pannica przed godziną ukończyła pensję. Miała lat szesnaście i rada familijna uchwaliła, że teraz będzie mogła uzupełnić swą edukację już w domu. Felicja gorąco poparła ten projekt, zastrzegając sobie w duchu swoiste ustosunkowanie się do zbożnych studjów domowych.

Powrót ze szkół odbywał się solennie. Przełożona, miss Minter wysyłała Felicję pod tkliwą opieką woźnej i zawiadamiała listownie ciocię Marcelę o dniu i godzinie przyjazdu, a ciocia Marcela wychodziła na dworzec... Ale tym razem Felicja napisała do ciotki, że już jest dorosła i wróci sama; ciotka odpisała, że jest niemile zdziwiona tym wybrykiem; powtóre, że nikt jeszcze nigdy nie widział, aby któraś z jej siostrzenic rozbijała się sama pociągami.

Wobec takiej zapowiedzi, miss Felicja wyruszyła w drogę do Londynu wcześniejszym pociągiem, dając rozkaz tragarzowi, by doręczył jej bagaż czarno odzianej i gniewnej pani, która będzie tu o nią pytała za kilka godzin. Sama zaś, acz należycie zaopatrzona przez miss Minter w bilet pierwszej klasy — wsiadła do trzeciej.. boć to o tyle zabawniej!

I oto siedzi sobie na twardej ławie i wyobraża rozmowę cioci Marceli z tragarzem!

— Czemże jest wobec jej gniewu cały gniew i wściekłość Nabuchodonozora... — myśli miss Felicja z zadowoleniem.

— A — gwiżdżę sobie! — wyrwało się jej z głębi duszy.

— Słucham? — zapytał jedyny jej towarzysz podróży.

Drgnęła. Zatopiona w marzeniach, nie zauważyła go dotąd. Był nim jakiś młody człowiek, ani elegancki, ani przystojny, lecz po którym znać odrazu dobre wychowanie. Podobał się jej jego sympatyczny rodzaj brzydoty.

— Co pan mówi? — spytała.

— Zdawało mi się, że to pani zwróciła się do mnie — rzekł młody człowiek.

— Nie, powiedziałam to tylko do siebie. Myślałam o cioci Marceli.

— Ach, tak...

— Widzi pan, — zwierzyła się Felicja, zachęcona jego życzliwym uśmiechem, — wstępuję w nowy okres życia. Zdjęłam szaty dziecięctwa, jak mówi Szekspir.

— Nie Szekspir, ale św. Paweł — sprostował.

— Niech będzie Paweł. Wiedziałam, że ktoś na S.

— A kto pani mówił, że Paweł nie zaczyna się na S?

— Ale „święty" zaczyna się na S! Nie o to zresztą idzie. Dość, żem ubrała ciotunię nie do twarzy i że rozpoczynam nowy rozdział żywota.

— Dziwnie się to zbiegło — rzekł w zamyśleniu. — Bo i ja zaczynam dziś nową kartę.

— Chyba nie skończył pan dziś szkoły? Za stary pan na to.

— Zapewne. Ale znalazłem pracę.

— Pierwszą w życiu?

— Co znowu! Moją pierwszą posadą była wojna; mam na pamiątkę po niej kontuzjowaną nogę. Miałem wstąpić na uniwersytet, ale... Poco jednak panią nudzę?

— Przeciwnie, przeciwnie, strasznie lubię słuchać. Więc?

— Więc... ojca zabito mi na wojnie, a matka zachorowała. Szukałem posady sekretarza, lecz dziś jest na to tylu amatorów i to ze zdrowemi nogami. Zaczęła się codzienna pogoń za pracą. Nie ma pani pojęcia, com przeżywał, wiedząc, że matce potrzeba winogron, pomarańcz i t. d., a nie mając grosza przy duszy...

— Bogu dzięki, że wreszcie zdobył pan posadę sekretarza — szczerze odezwała się Felicja.

Zlekka poczerwieniał.

— Hm, wprawdzie niezupełnie... To jest... Słowem, krótko mówiąc dostałem miejsce — lokaja...

Obejrzała go powtórnie od stóp do głowy.

— Szkoda pana na to — zauważyła.

— Dzięki za dobre słowo! — rzekł. — Bądź co bądź jest to praca... i płaca. Nie uwierzy pani, jaki jestem uszczęśliwiony. Teraz będę mógł dostarczyć matce wszystkiego. A trzeba pani wiedzieć, że matka moja jest aniołem. Jak zresztą każda matka, nieprawdaż?

— Nie wiem — rzekła z nutą smutku w głosie.— Ja matki nie mam.

Pociąg zwalniał biegu. Rozmówca miss Felicji począł zbierać swe rzeczy.

— Tu wysiadam — oświadczył.

— Ja również — rzekła.

— Tu jest moja posada. Jestem nowomianowanym lokajem Sir Digby Harborougha.

— Jak się pan nazywa?

— Franklin, do usług.

— Sir Digby Harborough — to mój ojciec, panie Franklin, — zawołała. — Spodziewam się, że będziemy dobrymi przyjaciółmi.

— Skądże znowu, miss Harborough! Toby zgoła nie uchodziło.

Pomógł jej wysiąść z wagonu i chciał się oddalić. Zatrzymała go.

— Chodźmy razem — rzekła. — Zwiodłam ciocię Marcelę, tak, że nikt nie wyjdzie po mnie.

— Pójdziemy, miss Harborough, ale nie razem. Nie chcę być nieuprzejmym, jak również nie chcę stracić posady.

— Ma pan iść ze mną i basta — przerwała mu stanowczo.

— Ha, trudno... Pan każe, sługa musi! Lecz okiem duszy już się widzę przeglądającego znowu ogłoszenia gazet, w poszukiwaniu pracy.

Wyszli z dworca i zdążali wąską uliczką.

— Jestem socjalistką — oświadczyła nagle.

— Odkądże?

— Odkąd poznałam pana.

— Ale bez mojej zasługi, bo sam nie jestem socjalistą; tem nie mniej...

— O Boże! — zawołała Felicja — oto Rózia!

Dwoje jeźdźców na przepysznych rasowych wierzchowcach zbliżało się ku nim. Amazonka o niezwykłej, dumnej urodzie skłoniła się Felicji. — Siostrzyczko... — zaczęła lecz w tej chwili wzrok jej padł na Franklina. Obrzuciła go zimnem, wyniosłem spojrzeniem i odjechała bez słowa. Młody człowiek patrzył za nią dłuższą chwilę.

— Nie zakochaj się pan czasem w Róży — rzekła Felicja. — Toby było takie nieoryginalne! — Wszyscy się w niej kochają.

— Nie zakocham się — odparł, a w uśmiechu jego poraz pierwszy dostrzegła pewną gorycz. — Chodźmy.

— Chwileczkę! — zawołała, zatrzymując się w środku uliczki.

— Mam myśl. Panby jednak wolał posadę sekretarza, niż lokaja, co?

— Niewątpliwie.

— Hm, dlaczegóżby papa nie miał mieć sekretarza? Doradzę mu to.

Stanęli przed pięknym pałacykiem i panna Fela oznajmiła towarzyszowi, że są u kresu podróży.

— Gdzie są drzwi kuchenne? — zagadnął Franklin.

— Dajże pan pokój — obruszyła się. — Jazda.

Szedł z nią po wspaniałych schodach. Na ich spotkanie ukazał się odźwierny, o minie co najmniej ministra.

— Dobry wieczór, Moult — przywitała go łaskawie. — To p. Franklin, nowy lokaj ojca. Konamy z głodu; proszę nam podać herbatę w saloniku, a żywo.

Moult poczerwieniał i zwilżył sobie wargi.

— Nakryłem do stołu dla p. Franklina w kredensie, proszę jaśnie panienki, — oświadczył z godnością.

Minął tydzień. Franklin pełnił obowiązki swego zawodu ku zadowoleniu Sir Digby. Mniej zadowoloną zato była zeń miss Felicja. Młodzieniec stanowczo nie chciał podzielać jej liberalnych poglądów, uparcie tytułował ją panienką i odzywał się tylko wtedy, gdy go zapytała o co. Wyraz jego twarzy był filozoficznie spokojny, bynajmniej jednak nie uradowany. To ją szczerze martwiło, zdecydowała tedy wykonać swój zamach stanu. — W tym celu udała się tego rana do gabinetu ojca i zapukała do drzwi.

— Proszę!

Sir Digby był zajęty czytaniem poczty, co zawsze nader ujemnie wpływało na jego humor.

— Głupcy, idjoci! — mruczał gniewnie, drąc list po liście na strzępy. — Jeden tylko rozsądny list w całej paczce to ten, od prof. Foxtona z Leeds University; zapowiada, że przyjedzie obejrzeć moje rękopisy i pokazać mi własne.

Sir Digby Harborough był zbieraczem. Jego kolekcja miniatur i średniowiecznych manuskryptów słynęła w całej Europie. Surowy i przykry dla wszystkich, stary arystokrata żywił istną czułość dla tych, którzy podobną mieli manję.

— Czy podyktujesz mi odpowiedź? — spytała słodziutko.

— Nie!

— Pytam się, bo wiem, że powinieneś papo, mieć sekretarza... — zaryzykowała.

Była to niewczesna uwaga w nieodpowiedniej chwili. Sir Digby w tej chwili potrząsnął swem wiecznem piórem, by się przekonać czy jest jeszcze w niem atrament; pióro potaknęło tak szczodrze, że cały notes upstrzył się plamami.

— Jazda stąd! — ryknął rozjuszony rodzic.

Upał był nie do zniesienia. Chudy człowieczek o wyglądzie uczonego przywlókł się zziajany do pałacyku. — Był to pan profesor Foxton, przybyły na nieszczęście wcześniej, niż go czekano, tak, że wysłana po niego kareta wyminęła go w drodze.

Gdy uczony mąż wkroczył do przedsionka, ujrzał siedzącą na stole i huśtającą nóżkami złotowłosą panienkę z powieścią w ręku, a przy drzwiach kogoś, kto wyglądał na lokaja. W tej chwili otwarły się drzwi gabinetu i na powitanie gościa wyszedł z otwartemi ramionami pan domu.

Obaj zbieracze rękopisów zniknęli za portjerą. Młodzieniec usiłujący wyglądać na lokaja zawahał się chwilę u drzwi korytarza kuchennego, ale zawrócił i podszedł do panienki.

— Kto to taki? — zagadnął ją krótko.

Miss Felicja drgnęła: po raz pierwszy przemówił do niej samorzutnie.

— Jakiś tam profesor — A dlaczego?

— Jaki profesor i skąd... — indagował dalej.

— Chwila namysłu.

— Aha, przypominam sobie: profesor Foxton z Leeds University. Dlaczego pan pyta?

— Proszę tu chwilę zaczekać. Idę to telefonu.

Niebawem powrócił.

— Pani jest pewna, że to prof. Foxton z Leeds University?

— Jak najpewniejsza; czytałam jego list do papy.

— Prof. Foxton z Leeds Nniversity jest obecnie w Szwajcarji.

Jej szafirowe oczy otwarły się szeroko.

— Więc któż to może być taki? — szepnęła.

— To mię właśnie zaciekawia — rozmyślał głośno. — Już gdzieś widziałem tę figurę, ale gdzie?... W tem sęk...

— Jaka pyszna przygoda! — wykrzyknęła zachwycona. — Koniecznie, koniecznie przypomnij sobie pan!

— Staram się...

Naraz uderzył się w czoło.

— Mam! Ale gdzie on?

— W błękitnym saloniku.

— Tam, gdzie są minjatury, nieprawda? Niech pani pójdzie zobaczyć, czy zbiory są w porządku, ja zaś zatelefonuję.

Po kilku minutach spotkali się w błękitnym saloniku.

— No, jakże tam? — zagadnął.

— Brak czterech — rzekła wolno — czterech najcenniejszych. Ktoś wyważył wieko, o, patrz pan — i — i — okno jest otwarte, a na dywanie widać ślady zabłoconych butów.

— Ładna historja — gwizdnął.

— W każdym razie — zadecydowała — chodźmy ostrzec ojca.

(Dalszy ciąg na str. 16-ej.)

Czy wiecie że...

...sekta Mormonów w Ameryce, jest jedyną sektą katolicką, która prawnie zezwala na wielożeństwo.

✲

...było dwóch sławnych Wiliamów Szekspirów. Jeden to słynny pisarz i dramaturg angielski, twórca „Hamleta", „Makbeta" i innych dzieł, drugi zaś, niemniej sławny, jak jego wielki imiennik żył w 19 wieku i był znanym kompozytorem i kapelmistrzem angielskim.

✲

...sześć państw europejskich nie graniczy z żadnem morzem. Są to: Szwajcarja, Austrja, Czechosłowacja, Węgry i dwa małe księstewka: Lichtenstein i Luksemburg.

✲

...mieszkańcy dawnej Etrurji przed 2300 lat mieli już techników dentystycznych, którzy znali sztukę robienia złotych zębów t. zn. koron. Świadczą o tem czaszki, znalezione w wykopaliskach, dokonanych we Włoszech, w miejscu gdzie niegdyś była Etrurja.

✲

...jeden gram radu wysyła tyle energji, że zamieniona na pracę wystarczyłaby na podniesienie ciężaru wagi 6000 centnarów na wysokość 100 metrów.

DR. M. LEŃSKI

Cudotwórcy 20-go wieku

Jest ich trzech: Wojnowski w Warszawie, Ceileis w Galspachu (Austrja) i Asuero w San-Sebastjanie (Hiszpanja). Siedzą w różnych krajach i leczą odmiennemi metodami, a mimo to należą do jednej i tej samej kategorji.

Mają dużo wspólnych rysów a nadewszystko to, iż nie posiadając wiadomości w zakresie wiedzy lekarskiej, zabierają się do leczenia nawet najpoważniejsze choroby. Klijentela tych cudotwórców jest swoista. Przeważna jej część to chorzy, którzy lata całe leczyli się środkami powszechnie stosowanemi w lecznictwie medycznem, a jednakże się nie rozstali ze swemi dolegliwościami.

Cóż więc dziwnego, że cudotwórcy, którzy proklamują, iż są w posiadaniu nowych metod, jakich medycyna jeszcze nie zna, zostają natychmiast oblężeni tysiącznymi chorymi tego rodzaju.

Wojnowski leczy ziołami, między innemi pochodzenia tybetańskiego. Ceileis leczy znów radem, helem i specjalnym aparatem elektrycznym. Asuero wypala nerw w błonie śluzowej nosa.

Czemu zawdzięczają oni swoje powodzenie? Czyżby osiągali oni naprawdę lepsze rezultaty, niż lekarze? Czy też całe ich dzieło, nie jest niczem więcej, niż bluffem, który może wprawdzie istnieć przez pewien czas, ale wkońcu musi prysnąć?

Medycyna oficjalna zwalcza mocno tych cudotwórców— w Polsce, w Austrji i w Hiszpanji.

Jednakże cudotwórcy zostają niedotknięci, gdyż są oni pod opieką szerokich sfer ludności.

Otóż to właśnie osobliwe zjawisko, iż masy święcie wierzą w skuteczność środków leczniczych, stosowanych przez tych cudotwórców, przyczyniło się do tego, że pewni medycy postanowili zbadać rzecz u źródła. Przedewszystkiem starano się zrozumieć ten osobliwy fenomen, dojść jego istotnych przyczyn. Najlepiej i naściślej została zbadana praca austrjackiego cudotwórcy Ceileisa. — Dwaj niemieccy lekarze, dr. Lick i dr. Wittman dokładnie opisali rezydencję Ceilesa. Lick, jeden z najwybitniejszych lekarzy niemieckich, udał się do Galspachu bez żadnego uprzedzenia do praktyk cudotwórcy. Chciał się tylko zapoznać u źródła z jego metodami i objektywnie sobie wytłumaczyć, czemu Ceileis zawdzięcza swoje niezmierne powodzenie. Lick miał protekcję do Ceileisa od pewnego lekarza z Jawy, wielbiciela cudotwórczych metod leczniczych. Ta rekomendacja otwierała naoścież przed Lickiem wrota rezydencji cudotwórcy.

Galspach — opowiada dr. Lick — jest przepełniony gośćmi. Pokoje w hotelach zamawia się na kilka miesięcy zgóry. W 1928 r. zarejestrowano w Galspachu 82 tysiące pacjentów. Wszystkie wioski i miasteczka, leżące dookoła Galspachu w promieniu 14 kilometrów, są obsadzone pacjentami tego cudotwórcy. W pociągu, w aucie, na ulicach, w hotelach. wszędzie się mówi o Ceileisie i jego cudach.

Osobistość Ceileisa jest osnuta legendami. Trudno zatem dociec, czem się cudotwórca zajmował nim się oddał lecznictwu. Wedle jednej wersji był on pracownikiem w sklepie, pokąd pewnego pięknego poranku odkrył w sobie niezwykłą moc hypnotyzowania.

Wedle innej wersji był ślusarzem, dużo wędrował po Europie, a pod koniec powrócił do Austrji, gdzie musiał w pocie czoła pracować na życie, aż udało mu się bogato ożenić. Od tej to chwili zaczyna się jego znamienita karjera. Przed wybuchem wojny światowej, urządził się Ceileis w odosobnionej wiosce Galspachu i zabrał się do leczenia ludzi.

Dr. Wittman opowiada, iż sporo ludzi, którzy się odznaczają zdrowym rozsądkiem, są głęboko przekonani, że Ceileis jest wysłannikiem Boga.

Ile lat ma Ceileis? Jego zwolennicy mówią, że dwieście. Inni twierdzą, że już jest po tysiącze. Wielbiciele jego opowiadają, że pochodzi z Indji i tam to się nauczył sztuki leczniczej u fakirów. Ponoć z Indji przywiózł ze sobą do Europy bezcenne skarby radu i helu. Zrazu mieszkańcy Galspachu robili mu duże trudności. Później jednak, gdy dostrzegli, że Ceileis przynosi im ogromne źródła dochodu, stali się jego zwolennikami.

Ceileis przyjmuje od 7 rano do 5 — 6 po południu, z przerwą dwugodzinną.

W ciągu ośmiu godzin przyjmuje on 1000 chorych, ściślej — 3000 gdyż, każdy chory zostaje wciągu dnia przezeń trzykrotnie badany. Rozmiary pokoju przyjęć to 10 na 4 metry. Wpuszcza się tam odrazu 100 — 130 chorych. Pokój jest niski, słabo oświetlony dwiema elektrycznemi lampami, tkwiącemi w paszczach dwóch ogromnych wężów.

Badanie chorego polega na krótkiem wypytywaniu się o jego dolegliwościach. Przeważna część chorych przynosi już ze sobą gotowe djagnozy. — Następnie bada Ceileis pacjenta przy pomocy rurki szklanej, wypełnionej, wedle jego zdania, gazami szlachetnemi. Dzięki wnikającemu do niej prądowi elektrycznemu rurka oświetla się. Tę djagnostyczną rurkę przykłada on do różnych części ciała chorego, rozpoczynając od czoła, a kończąc na nogach. Wedle twierdzenia Ceileisa oświetlenie rurki, przystawione do chorego narządu ciała, jest zgoła inne, niż do zdrowego. Na tej podstawie może on rozpoznać różne choroby. Z błyskawiczną szybkością stawia się djagnozę. Badanie przeprowadza się w następujący sposób: Ceileis trzyma w prawej dłoni elektryczny pędzel, który jest złączony drutem, z elektrycznym aparatem o wysokiem napięciu. Drut ten tryska niebieskawemi iskierkami. Również z pędzla biją szumiące, niebieskie promienie. Gdy pędzel jest trzymany nieco naukos, w odległości 15 centymetrów od pacjenta, wówczas oświetla on ciało tegoż błyskawicami. Niekiedy Ceileis dotyka pędzlem bezpośrednio ciała chorego i wtedy się widzi, jak biją elektryczne promienie z podeszw.

Ceileis ma przytem do pomocy dwóch lekarzy: jeden bada chorego, aparatem rentgenowskim, a drugi oświetla go lampą łukową, która, zdaniem Ceileisa, jest przesiąknięta helem.

Promieniowanie trwa zaledwie kilka sekund. Ale błyskawice i promienie, które się ukazują w tajemniczem półmroku pokoju i padają na ciało chorego, wywierają niesamowite wrażenie na pacjencie. Wedle dr. Licka cały czar tkwi w osobistości Ceileisa. Jest on bowiem mocnej budowy, z nawpół-siwą, patrjarchalną brodą i przyjmuje swoich pacjentów z niezwykłym spokojem, paląc przytem zawsze cygaro. Z większością swoich pacjentów jest on na „ty". Kładzie on swą rękę na grzbiecie chorego, równocześnie oświetlając go drugą ręką i przytem mówi mu kilka uspakajających słów, jakiś dowcip i t. p.

Ceileis lubi też zażartować ze swych pacjentów. Dr. Wittman opowiada jak cudotwórca nadmuchał na twarz mniszki dużo dymu ze swego cygara, mówiąc jednocześnie z uśmiechem: „Siostro, to kadzidło". Nie wstydzi się nawet wniknąć, bez żadnego taktu, w tajniki życia osobistego.

Ciekawe, ile zarabia taki cudotwórca.

Ceileis pobiera za wizytę 3 szylingi. W ciągu ośmiogodzinnego dnia pracy przyjmuje on 3000 chorych, — ściślej — trzykrotnie tysiąc chorych, t. zn., że zarabia dziennie 9000 szylingów czyli 10.000 złotych.

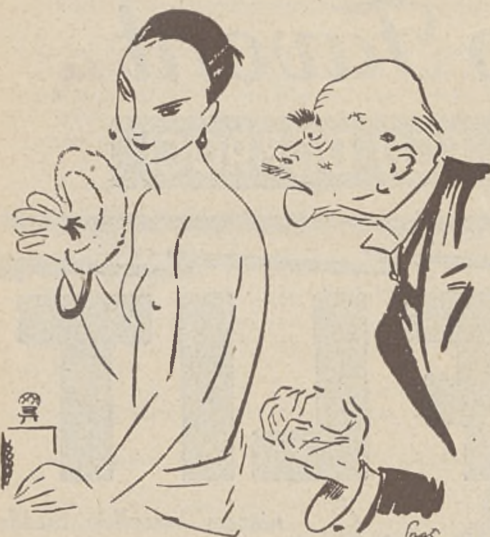
(D. c. n.)

HUMOR



— Czego wystajesz, frajerze, na deszczu? Nie lepiej iść do koszar...

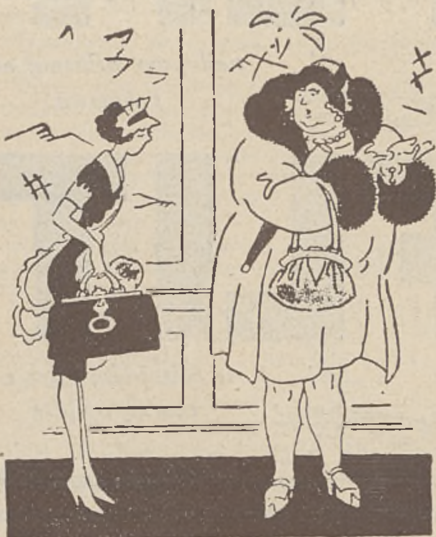
— A czy ja głupi iść do budy, kiedy mam pozwolenie do 12-ej?!...



— Od jakiego czasu kochanek twój ośmiela się przebywać pod naszym dachem?

— Zaledwie od sześciu miesięcy...

— Ach, łotr! Zmuszę go, żeby płacił połowę komornego!



— A pamiętaj, Marysiu, żebyś nie paradowała w moich sukniach...

WŁODZIMIERZ HR. BEM DE COSBAN.

JESIENNY AFEKT IMĆ PANA ŁOWCZEGO INFLANCKIEGO

2)

Dni i miesiące mijały w dorywczych rozkosznych spotkaniach.

Aż przyszedł czas fatalny, kiedy piękna Joasia odczuła, że za parę miesięcy stanie się matką nieślubnego dziecka...

Co się potem dziać musiało w czcigodnej patrycjuszowskiej rodzinie Veninów, gdy rzecz się ta wykryła, jaka odbyła się rozmowa (pierwsza rozmowa) między Imć Panem Łowczym, a ojcem skompromitowanej dziewczyny, jakich gróźb użył stary mieszczanin w stosunku do starego szlachcica wobec czynu, który w prawodawstwie „raptus puellae" się zowie — niewiadomo. Natomiast, pozostał oficjalny ślad, że Imć Pan Łowczy nie wyparł się swego czynu, przeciwnie, zeznał on otwarcie przed światem, iż jest ojcem tego, który po przyjściu na świat otrzymał imię Andrzeja. Świadczą o tem księgi chrztu katedry lwowskiej z ostatnich dni 1752 r.:

...Andreas filius illegitimus Magnifici Josephi de Cosban Bem Venatoris Livoniae e Joannae Veninowna Virginis... — tak głosi akt wspomniany.



Joanna z hr. Wielhorskich 1-o Witwicka, 2-o hr. Bem de Cosban.

Rodzicami chrzestnymi są dwie ciekawe postacie: „nobilis" Adalbert Bem, ławnik lwowski, i „magnifica domina" Barbara du Perron de Castera.

Owa pani, czy panna du Perron de Castera, musiała być niewątpliwie krewną, może żoną, lub siostrą ówczesnego posła francuskiego przy dworze polskim, noszącego to nazwisko. Być może, że była ona zaufaną przyjaciółką siostry Imć Łowczego, zamężnej za Andrzejem Czaplicem wojskim włodzimierskim, może tylko dobrą Łowczego znajomą, wtajemniczoną w jego romantyczną przygodę z Joasią i „uszlachetniającą" akt chrztu nieślubnego jego potomka przez „dostojny" swój patronat. Ważniejszą natomiast w tym akcie jest osoba rzekomego familjanta Imć Pana Łowczego, podobno stryjecznego brata, dotąd mu nieznanego, z linji, która dzięki zmiennym losom, osiadłszy przed laty we Lwowie, zaniedbała dawnych swych praw szlacheckich. Ów Adalbert Bem, doktór medycyny z fachu, a w przyszłości tytularny nadworny konsyljarz króla Stanisława Poniatowskiego, zjawia się w przygodzie miłosnej Imć Pana Łowczego, jak klasyczny „deus ex machina".

Ma on ambicję być krewnym Bemów de Cosban, sam nosi podobne brzmieniem nazwisko — Bem, tylko bez przydomka.

Dzięki ostatnim wypadkom zostaje wzięty pod uwagę przez Pana Łowczego i użyty najpierw w charakterze ojca chrzestnego nowonarodzonego Andrzeja.

Ale to nie wszystko. Między nim i Łowczym staje układ, którego oryginał, złożony swego czasu w Magistracie lwowskim, przechował się do naszej epoki. Zostaje mianowicie wydany przez Imć Pana Łowczego ciekawy certyfikat warunkowy, stwierdzający szlachectwo owego Adalberta Bema, z zastrzeżeniem jednak, że ten ostatni dał szlacheckie słowo, iż w najbliższym czasie poślubi Joannę Veninównę, a nieślubnemu jej synkowi „ojca prawdziwego zastąpi". Cel tego certyfikatu jest najzupełniej przejrzysty.

Z dokumentu owego dowiadujemy się, że uważano powszechnie, jakoby młodszy syn dziada Pana Łowczego, będąc „przez garb swój do rzemiosła wojennego nie zdatny" był umieszczony w klasztorze i tam „jako mnich pono w młodych latach jeszcze żywot zakończył". Czytamy dalej, iż, młody Krystjan Bem nie pozostał mnichem, ale, „klasztorny żywot sobie uprzykrzywszy" — uciekł i osiadł we Lwowie, gdzie z obawy przed karą ukrywał się, aż „w wielkie ubóstwo popadłszy musiał stanu szlacheckiego swojego zapomnąć i do pracy stanowi szlacheckiemu nieszlachetnej się zabrać, i na sekretarza do Rady miejskiej się najmując, zaś po latach szacunek powszechny sobie zjednawszy, w koligacje wszedł ze znaczniejszymi mieszczany lwowskiemi i p. Małgorzatę Essównę obywatelkę lwowską poślubiając i honorowany przez mieszczan tutejszych, jako Regent ich gminy wreszcie życie zakończył". Ze związku tego urodził się ów Adalbert Bem. Czyż to nie jest znakomitą osobliwością, mogącą wybawić Imć Pana Łowczego z kłopotu? Postanawia więc szlachetnego Adalberta Bema przypuścić do klejnotu Bemów, ale z warunkiem, aby ów Adalbert poślubił Joasię i usynowił dziecko zrodzone nieprawnie z Joanny Venino. Boć jeśli Imć Adalberta Pan Łowczy nobilituje, to chce wiedzieć, czy w Adalbercie płynie istotnie krew szlachecka, szlachcicowi zaś wypada słowa dotrzymać.

Dowodem tego, że Adalbert Bem dotrzymał danego Łowczemu słowa, jest ślub jego z Joasią Veninówną w kilka miesięcy później, to jest wiosną 1753 roku, o czem znowu świadczą akta tejże lwowskiej katedry. Ślub odbył się z należytą pompą.

W taki to kompromisowy sposób wybrnął Imć Pan Łowczy z trudnej sytuacji, w którą się przez swój afekt zaplątał.

Innego wyjście nie miał. Poślubić swej kochanki i nie mógł i nie chciał.

Nie mógł, bo Pani Łowczyna nie dałaby mu rozwodu, a odbierać sobie życia z powodu awantury miłosnej małżonka nie miała jakoś zamiaru, ograniczając się tylko do szeregu wybuchów i scen takich, jakich do śmierci nie zapomniał później Pan Łowczy.

Lecz gdyby nawet nie było przeszkód ze strony pani Wiktorji, Imć Pan Łowczy i tak nie zdecydowałby się poślubić umiłowanej przez siebie patrycjuszki lwowskiej. Miał przecież już dwoje dzieci z ostatniego małżeństwa, czyżby mógł odbierać im matkę i dawać kochankę za macochę?

A pozatem jeszcze jedna przeszkoda nie do przebycia murem wyrastała przeciw możliwości małżeństwa z piękną Joasią.

Były to zakorzenione głęboko w Panu Łowczym przesądy stanowe i stanowe ambicje, tak silne w połowie XVIII wieku wśród starej szlachty, a zwłaszcza wśród szlachty polskiej. Toć przecież już małżeństwo swoje z panią Wiktorją ze Słomińskich Schmellingową uważał Imć Pan Łowczy za mezaljans dla siebie i tylko za konieczny w ówczesnej jego sytuacji „mariage de raison", chociaż Słomińscy od trzech ostatnich pokoleń byli już szlachtą polską, zaś Schmellingowie z baronów kurlandzkich się wywodzili. Żeby przynajmniej ów sławetny Franciszek Venino w ten sam sposób jak Schmelling mógł ród wyprowadzić — ale gdzie tam — taki sobie jakiś Venino, wzbogacony włoski przybysz, ni z pierza ni z mięsa.



Franciszek Bem de Cosban (1773—1813).

I miałżeby on, potomek Grafów na Kosbanvarze i magnatów węgierskich, potomek ongi pomorskich baronów z Bemsdorfu Bemów, których w roku 1570, indygenatem z najstarszą szlachtą w Polsce przyrównano, miałżeby on wprowadzać do swego rodowodu nazwisko jakiegoś Veniny?

Rzecz ta przechodziła możliwości pojęć Łowczego.

Nie, to nie mogło być dla niego i dla jego rodu, który nie zrzekł się jeszcze dotąd praw do feodalnego swego zamku na Węgrzech i który dumnie nosił swą tarczę herbową, udostojnioną w klejnocie godłem rycerzy krzyżowych.

Ale wszystko co było niemożliwem dla Imć Pana Łowczego, mogło być najzupełniej możliwem dla „szlachetnego Adalberta Bema", „medicinae doctoris", rzekomego jego familjanta.

Więc oddał mu Pan Łowczy kochankę na żonę, a wzamian uznając go prawdziwym swym krewnym zapewnił tem nietylko jemu, lecz i Joasi i zrodzonemu z niej synowi Andrzejowi prawa szlacheckiego rodu Bemów.

Umiłowana patrycjuszka i jej synek otrzymali więc to samo nazwisko, które było zasadniczem nazwiskiem Imć Pana Łowczego i jego przodków. Wszystkich trojga wprowadził Pan Łowczy drogą okólną do swej rodziny w swoisty sposób wynagradzając kochance mimowolną krzywdę, jaką jej przez nieokiełznaną ku niej namiętność wyrządził i od hańby ją ocalając.

Uczyniwszy więc wszystko co należało, odjechał z głęboką raną w sercu do swych ruskich czy też wołyńskich wiosek, do oczekującej go pani Wiktorji...

Czy Imć Pan Łowczy przyjeżdżał jeszcze potem często do Lwowa, czy pod płaszczem małżeństwa Adalberta Bema trwał jeszcze dalej romans jego z Joasią — trudno zgadnąć. Z małżeństwa tego, które żyło jeszcze długie lata zrodziło się cztery córki i dwóch synów. Z nich Jan stał się protoplastą galicyjskiej linji Bemów, dziedziczącej Manajów w powiecie Złoczowskim, zaś Jakób był prałatem - infułatem lwowskim. Obydwaj ci bracia rodzeni wraz z bratem swym przyrodnim Andrzejem zostali restytuowani w prawach szlacheckich w Galicji w 1803 roku za poparciem Wincentego de Cosban Bema, syna Imć Pana Łowczego z prawego łoża, który spełniając wolę dawno już nieżyjącego ojca, świadczył za nich przed stanami galicyjskich magnatów, jako za pochodzących z tej co i on sam rodziny.

Lecz jednej rzeczy nigdyby nie przypuścił ś. p. Pan Łowczy. Nigdyby nie przypuścił, że nie ów syn jego prawowity, Wincenty, który następnie poślubił księżniczkę Drucką - Sokolińską, starościankę wielatycką i nie tegoż syn Franciszek, który przez małżeństwo z córką koniuszego wielkiego koronnego hr. Wielhorską wszedł w koligacje z książęcemi domami Ogińskich i Radziwiłłów—będą tymi, którzy podniosą świetność rodu Imć Pana Łowczego, nie przypuścił natomiast, że największym blaskiem opromieni jego nazwisko ten, który wyjdzie z linji owego właśnie nieślubnego, z Veninówny zrodzonego jego potomka.

Bo ów właśnie Andrzej Bem, owo dziecię jesiennej ostatniej miłości Pana Łowczego miał w późniejszych latach stać się ojcem bohatera dwóch narodów, generała wojsk polskich i węgierskich, Józefa Bema.

Nigdyby nie przewidział Pan Łowczy, iż z tej to linji właśnie jego wnuk - bohater takim rozgłosem chwalebnym otoczy imię swe na Węgrzech, że więcej mu tem splendoru przyniesie, niżby przyniosło odebranie z powrotem zamku i całych dóbr Kosbanvarskich.

Ale miało się to stać dopiero w wiele, wiele dziesiątków lat po śmierci Pana Łowczego.

Umarł Imć Pan Łowczy w maju 1762 roku.

Zgodnie z jego testamentem ubrano go do trumny w narodowy strój węgierski, przysługujący magnatom, który zamiast polskiego kontusza miał zwyczaj wkładać w najuroczystszych chwilach życia.

Na piersiach, pod rycerskim ryngrafem z Matką Boską położono mu dwie drobne rzeczy, z któremi się nigdy nie rozstawał: miniaturę króla Stanisława Leszczyńskiego i zwitek miedzianych miękkich włosów, związanych czarną wstążką.

Podobno były to włosy Joasi Veninówny, patrycjuszki lwowskiej.

JASNOWIDZ

— Hallo! Mój panie! To jest moja paczka! — wykrzyknęła elegancko wystrojona dama, widząc, że jakiś nieznajomy chce wysiąść z jej paczką z autobusu.

— Wybaczy pani, ale paczka do mnie należy — uprzejmie odpowiedział zaczepiony, grzecznie uchylając swego kapelusza.

— Ależ to jest bezczelność! ona jest moją! — wykrzyknęła z gniewem dama.

— Jeszcze raz pani komunikuję, że jest pani w błędzie.

— No czy to kto słyszał i widział coś podobnego. Konduktor! proszę tego pana aresztować.

Reszta pasażerów przysłuchiwała się sprzeczce ze źle ukrywaną wesołością.

Dama zbladła, potem zaczerwieniła się ze wściekłości, podczas kiedy mężczyzna spoglądał na nią z łagodnym uśmiechem. Spokój jego, przechylał szalę całego zajścia na jego stronę. Widać było, że paczka należy do niego.

— Łatwo jest sprawdzić, po czyjej stronie jest słuszność. Może mi pani wymieni przedmioty, jakie zawiera?

— A tak, myśli pan, że jestem taka głupia i powiem, co tam jest, żeby pan potem wiedział.

— Zgoda! wobec tego ja pierwszy wymienię zawartość paczki — roześmiał się jegomość.

Zaciekawienie w autobusie wzrosło.

Wreszcie mężczyzna powiedział: „¼ funta kiełbasy".

Dama przestraszyła się. Za pierwszym razem odgadł. Jeżeli jeszcze powtórnie uda mu się wymienić jakąś część zawartości paczki, będzie pobita.

— ½ funta sera—wrzasnęła.

— ½ tuzina ogórków—roześmiał się.

— Tabliczka czekolady.

— Pudełko daktyli — odparł z zimną krwią.

Słuchacze zdumieli się. To było coś nadzwyczajnego.

Konduktor stał bezradny. Co należało uczynić? Komu przyznać prawo do paczki? Oboje zdawali się być jej właścicielami. Wreszcie wzruszył ramionami i zadzwonił. Autobus potoczył się dalej.

— Panie, ja muszę w tej chwili wysiadać. Może mi pan odda wreszcie moją paczkę — pisnęła zdenerwowana dama.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Pasażer podniósł się z miejsca, rzucił dookoła dumnym wzrokiem, poczem odezwał się: „Szanowni państwo! chciałbym się teraz przed wami wytłómaczyć. Jestem jasnowidzem, czego dowód dałem wam przed chwilą. Paczka, faktycznie należy do tej pani. Podczas kiedy ja twierdziłem, że paczka jest moją własnością, ta pani nieustannie myślała o jej zawartości. Myśli te, odczytałem natychmiast, czego byliście świadkami. Proszę! Oto mój bilet wizytowy. Moje godziny przyjęć codziennie, od 3-ej do 5-ej. Wizyta 10 zł.

Uszczęśliwiona dama, tego samego dnia jeszcze, stawiła się w poczekalni jasnowidza.

Jasnowidz z radcścią przyglądał się tłumowi klijentów. Reklama zrobiła swoje.

A to wszystko było dlatego, że stał w sklepie za plecami damy i widział co ona kupuje.

TURNIEJ „7-miu DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

WARUNKI TURNIEJU.

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczane w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września — artystka, uznana za najbardziej czarującą otrzyma cenną nagrodę w postaci

Bonu na portret

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.



9. Kazimiera Skalska (fot. Dorys).



8. Marja Przybyłko-Potocka (fot. Brzozowski).

GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

Królową sceny polskiej, a co za tem idzie i najbardziej czarującą artystką nazwać można jedną tylko Przybyłko-Potocką. Za nią głos oddaję.

Jim Poker.

✵

Czar i uroda Kazimiery Skalskiej zdobyły jej pierwsze miejsce na konkursie „Pani". Zdania swego od tego czasu nie zmieniłem.

W. Przybylski.

✵

P. Józef Boryszewski przysyła nam zbyt długi list, żeby można podać treść jego in extenso. Czytelnik nasz oświadcza, iż jest entuzjastą Jadwigi Smosarskiej, a zdanie jego potwierdzają duchy, wezwane na seansie spirytystycznym — duchy poważne, a więc Ludwika XIV, Homera, Szopena i t. d. i t. d.

✵

Urocza Ola Obarska (patrz Nr. 27) otrzymuje masę głosów z całej Polski. Winszujemy...

KUPON Nr. 3 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i dołączyć do fotografji.

OPINJA „STAREGO WYGI" TEATRALNEGO O NASZYM TURNIEJU

Aby artystka była dla mnie czarującą (oczywiście w płaszczyźnie sztuki) — nie powinienem jej znać osobiście czyli prywatnie. Czar kobiety bardzo łatwo identyfikuje się z sensacjami artystycznymi. Największą porcję czaru kobieco-artystycznego odbieram—niestety—tylko w teatrach zagranicą, gdyż tam nie znam żadnych intymnych drobiazgów, związanych z życiem artystki — i patrząc na nią, patrzę na bajkę, a nie na plotkę.

Zygmunt Kawecki.



10. Jadwiga Smosarska (fot. Dorys).

„KOMTUR"

Jeden dzień na Wystawie w Poznaniu

(Koresp. specj. wysłannika „7 Dni")

Rzadko który pociąg miał zaszczyt wieźć grono tak wytrawnych pokerzystów, jak ten, którym przedstawiciele prasy krajowej i zagranicznej udawali się na „Komtura". Kibice, którzy otoczyli nasz stolik, porykiwali cichutko z rozkoszy, takie były bajeczne gry i spotkania, a stolik wagonu restauracyjnego podskakiwał z radości.

Przed dworcem flagi państw, biorących udział w wystawie. Pobiłem się trochę z jednym z kolegów (z konkurencyjnej redakcji) z powodu różnicy zdań w sprawie barw narodowych poszczególnych państw, ale po półgodzinie rozdzielili nas. Szliśmy dalej zgodnie.

Mamy cały wieczór wolny, więc bractwo się rozsypało po mieście. W wielu lokalach dochodziło do wzruszających scen, gdy spotykały się poszczególne nasze grupy i rzucały się sobie w objęcia. Na temat objęć, możnaby jeszcze coś niecoś napisać (ach!), ale wrodzona mi skromność każe milczeć...

Po uroczystej inauguracji, zacząłem zwiedzać wystawę. Taki już jestem.

Wielkie pawilony, każdy inny, jeden ciekawszy od drugiego, bardziej zdumiewający... Tramwaje, autobusy, koleje, samochody, aeroplany, modele portów, mostów, w dziale turystycznym piękne obrazy, panoramy, kalejdoskopy, widoki najrozkoszniejszych zabytków świata...

W dziale tramwajownictwa dostałem kurczy ze śmiechu. Pierwszy w Polsce, a czwarty wogóle na świecie tramwaj, który ukazał się na ulicach Lwowa w r. 1894. Takie coś jechało po ulicy i ludzie nie warjowali ze śmiechu i uciechy?!... przecież to tylko trzydzieści pięć lat temu...

W dziewiątym pawilonie jest bajeczny model portu Wenecji; tu siedziałbym godzinami, ale niestety...

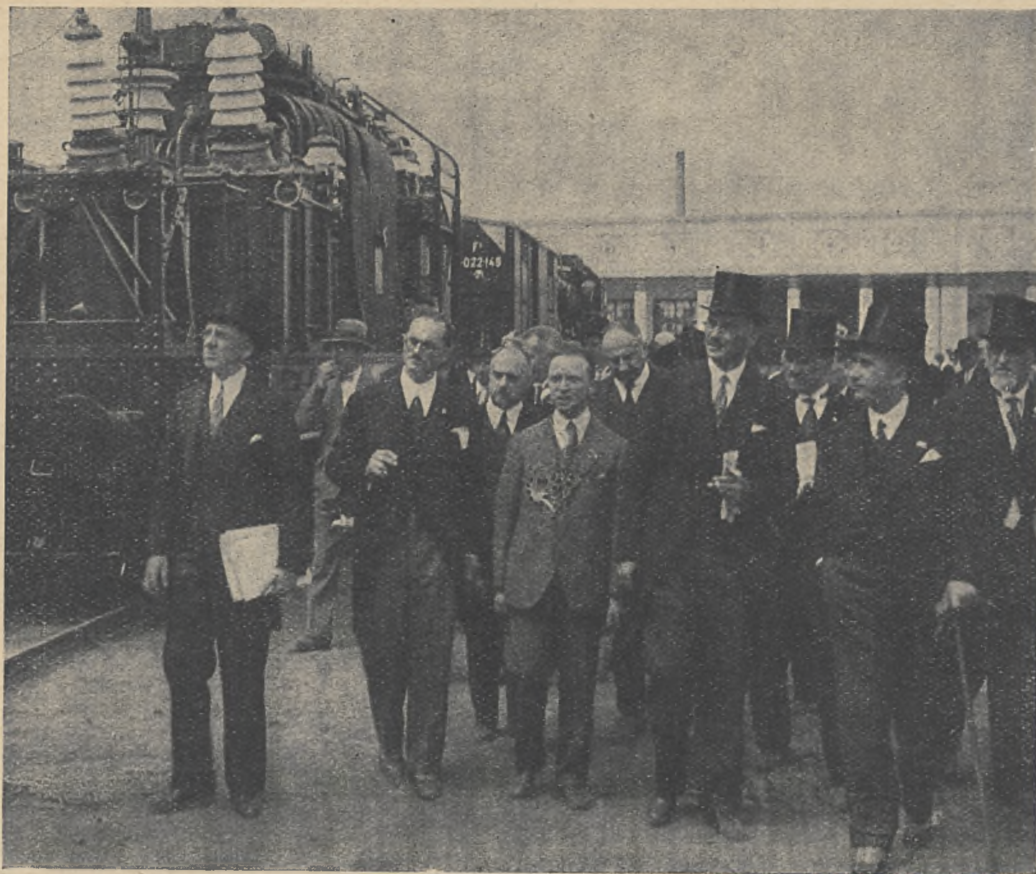
W jednym z pawilonów przyszedł mi na myśl sposób zarobienia większej sumy dolarów. W szklanej gablocie znajduje się pierwszy na świecie globus, na którym oznaczona została Ameryka, Stanowi on własność Bibljoteki Jagiellońskiej, Ameryka zaś napróżno ofiaruje zań olbrzymie sumy. Możnaby zrobić interes, hę?... W pół godziny później opanowała mnie wściekłość. Wśród przepięknych kjosków światowych uzdrowisk i miejscowości nadmorskich rzucił mi się w oczy model soppockiego kasyna! Ożyło wspomnienie zeszłego roku i własną krwawicą zapracowanych pieniędzy, które mi wydarł ten moloch gry (śliczne wyrażenie!). Chciałem zdemolować, ale przyjaciele mnie powstrzymali; zakląłem po warszawsku i poszedłem dalej...

W dziale turystyki krajowej odzyskałem humor; talentem znakomitych malarzy przemówiło piękno krajobrazu Polski, wszystkich jej dzielnic od Bałtyku po Tatry... Opanowała mnie duma i rozrzewnienie...

O godzinie trzeciej popołudniu wzięliśmy udział w bankiecie wydanym przez dyrekcję wystawy. Były tłumy ludzi i zupełnie dobre wino.

A wieczorem — rzetelnie zmordowani, zasiedliśmy w wagonach... do pokera i powróciliśmy do stolicy.

Stefan Stegry.



Otwarcie wystawy komunikacyjno-turystycznej w Poznaniu.



W ubiegłym tygodniu odbył się pogrzeb nieodżałowanego poety, ś. p. Juljana Ejsmonda. Zwłoki wynieśli z kościoła na swych barkach członkowie Penklubu.

Co słychać na świecie

Po międzynarodowym kongresie komunikacyjnym, jaki się odbył w Warszawie z udziałem 350 delegatów, reprezentujących 21 państw, w ub. niedziele otwarto w Poznaniu międzynarodową wystawę komunikacji i turystyki. W uroczystości tej wzięli udział przedstawiciele zagranicy, z pośród których prezes międzynarodowego kongresu komunikacji podmiejskiej, p. Lancker, podkreślił, że Polska, mimo ciężkich chwil, jakie przeżyła w pierwszych latach swego odrodzenia, zdołała wysunąć się na 5-te miejsce w Europie pod względem długości linji kolejowych. Zdaniem włoskiego wiceministra Penczavarii, który przemawiał imieniem delegatów państw obcych, wysiłki Polski położone przy organizacji zeszłorocznej P. W. K. i tegorocznej wystawy komunikacyjno-turystycznej, pozwalają na stawianie najpomyślniejszych horoskopów co do przyszłości naszego kraju, a to biorąc pod uwagę patrjotyzm jego obywateli, energję pracy ludu i kierownictwo oświecone sfer rządzących.

Jedynie Niemcy z pośród zagranicy zdają się bojkotować poznańską wystawę. Zresztą, objaw to zupełnie zrozumiały.

*

Najwspanialszym cudem naszego wieku nazywa prezes Pen-klubów świata, p. Galsworthy, cud zmartwychwstania Polski, dzieląc się swemi wrażeniami z niedawnych odwiedzin w Polsce z czytelnikami londyńskiego „Observer'a". Podkreśla przytem p. Galsworthy, że warszawski kongres Pen-klubów zorganizowano lepiej, niż wszystkie dotychczasowe.

*

W ub. tygodniu gościli u nas przedstawiciele marynarki duńskiej i angielskiej. Wizyta marynarki duńskiej jest rewizytą wzamian za wizytę floty polskiej z r. 1927 i 1929, przyczem ze słów szefa ochrony wybrzeża w duńskiem ministerstwie marynarki, komandora-porucznika Pontoppidana zasługuje na podkreślenie, iż komandor, który był w Gdyni przed ośmiu laty, obecnie wierzyć wprost nie chciał oczom, widząc to, zakrojone na dużą skalę, miasto portowe.

Flotylla angielska, w składzie krążownika i 3 kontrtorpedowców, przybyła do Gdyni w d. 5 b. m. w charakterze nieoficjalnym. Jednocześnie druga flotylla, złożona z krążownika i 4 kontrtorpedowców, zawinęła do Gdańska, gdzie powitały ją oficjalnie dwa nasze tor[pe]dowce. Prasa fachowa wyraża nadzieję, że goście angielscy [bę]dą mogli naocznie przekonać się o naszej pracy na morzu, [nie] dla zdawkowych pochwał pod naszym adresem, ale po to, [by] móc sobie urobić rzeczową o nas opinję.

Król Karol II z w. ks. Michałem podczas parady oficerskiej szkoły w Bukareszcie, na której asystował premjer jugosł. Marinkowic.



Lotnicy amerykańscy — bracia Albert, John, Kenneth i Walter Hunterowie dokonali niezwykłego lotu w ciągu 23 dni bez lądowania.

*

W związku z kongresem krakowskim, zorganizowanym pr[zez] stronnictwa centrum i lewicy, pisma doniosły, że wła[dze] krakowskie zgłosiły do prokuratury wniosek o poci[ąg]nięciu do odpowiedzialności karnej organizatorów i uczestnik[ów] kongresu.

*

Sesja Sejmu śląskiego została odroczona rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej na podstawie art. 21 stat[utu] organicznego woj. śląskiego.

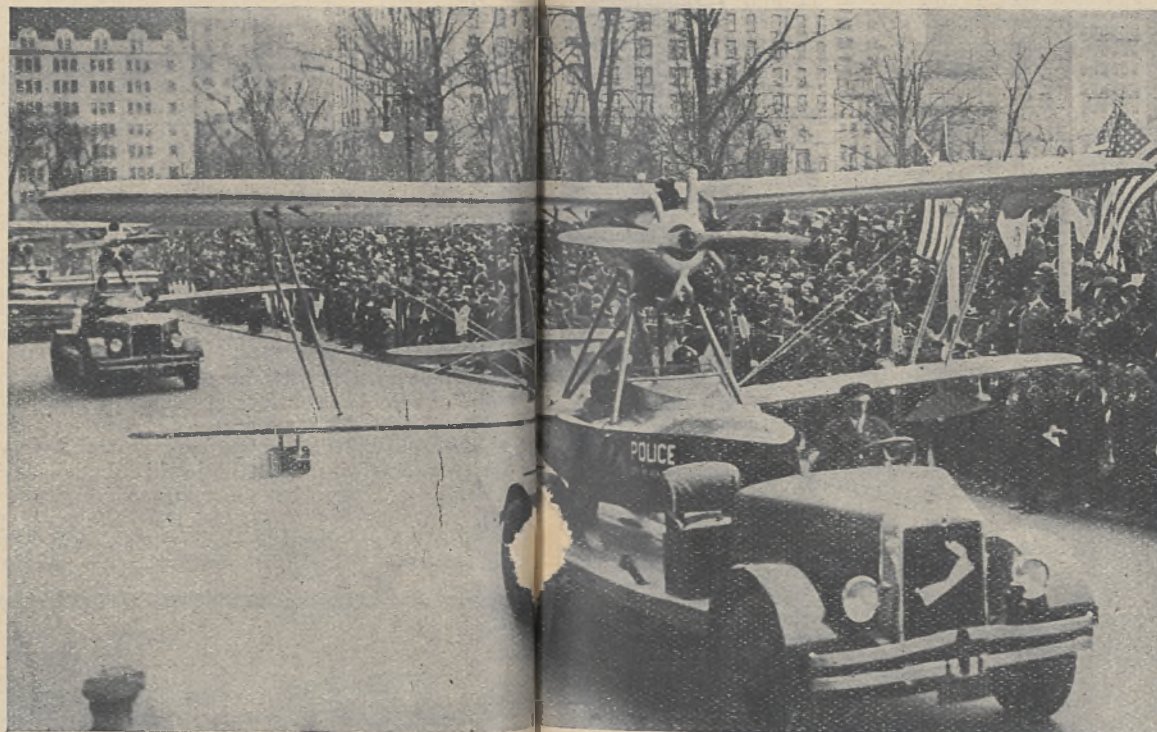
*

Od wyjścia ostatnich oddziałów wojsk sojuszniczych w 30 czerwca z okupowanej dotąd Nadrenji, powtarzają [się] tam stale napady band uzbrojonych nacjonalistów na [po]dejrzanych o tendencje separatystyczne. Policja niemie[cka] podobno nie interwenjuje zupełnie, a w najlepszym razie [osa]dza napastowanych — nie napastujących! — w więzieniach.

W związku z tem francuski minister spraw zagranicznych Briand, zaprotestował wobec a[mba]sadora niemieckiego w Paryżu. [Pra]sa paryska podnosi przytem, że [po]stępowanie władz niemieckich [w] Nadrenji jest sprzeczne z ka[teg]rycznemi zobowiązaniami [rządu] Rzeszy, który przyrzekł nie [do]puścić do opresyj przeciw sepa[raty]stom.

Rokowania niemiecko-franc[uskie] zostały, według informacyj b[erliń]skich, zerwane, według pary[skich] zaś — odłożone do jesieni; po[dob]no nie sprzyja im atmosfera, [jaka] się wytworzyła po ewakuacji [Nad]renji.

Przywódca ruchu separatyst[ycz]nego w Moguncji, dr. Roth, po[peł]nił wraz z żoną samobójstwo [w] obawie prześladowań!



Na dorocznej paradzie nowojorskiej p[olic]ji defilowały aparaty lotnicze, które zaprowadzon[o ja]ko inowację.

*

Wbrew formalnym zaka[zom] traktatu wersalskiego, [fab]ryki niemieckie przyję[ły za]mówienie rządu perskiego na [dosta]wę 30 samolotów wojsko[wych] wywiadowczych i do bombar[dowa]nia. Do Persji wyjechali inżyn[iero]wie niemieccy, pod których kier[ow]nictwem zbudowana będzie pie[rw]sza fabryka samolotów pod T[eh]ranem, jaka zatrudnić ma tec[hni]ków i robotników Niemców.

Zjazd partji komunistycznej w Moskwie zaaprobował całkowicie dotychczasową politykę Stalina, polegającą na powszechnej „industrjalizacji i kolektywizacji". Opozycja na zjeździe gotowa była podpisać wszystko — jak to zaznaczył Tomskij — byle uniknąć „zesłania do pustyni Gobi". W przemówieniach, dotyczących polityki zagranicznej, brzmiała nuta pogardy dlaapństw kapitalistycznych, które rzekomo, uginając się pod ciężarem kryzysów gospodarczych, nie mogłyby być zdolne do żadnej akcji solidarnej. Przytem sowiety posiadają — zdaniem Blüchera — czerwone wojsko, dorównywujące pod względem technicznym najlepszym wojskom świata. Wbrew dotychczasowym metodom tym razem nie podnoszono „groźby wojny, wiszącej nad sowietami". Czułemi punktami były natomiast „blokada finansowa" i „przyczepianie się do eksportu sowieckiego".

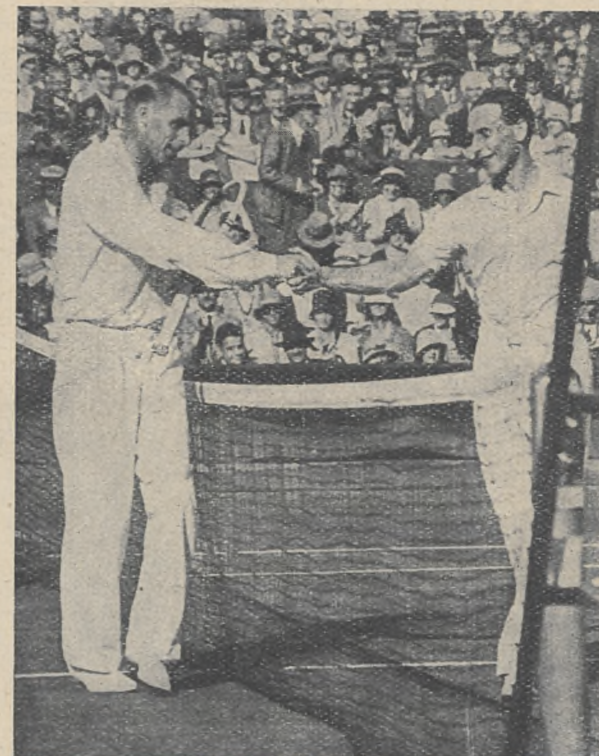
Przewodniczący rady komisarzy ludowych Z. S. R. R. Rykow wyjeżdża podobno na dłuższy urlop, z którego już nie powróci, Cziczerin zaś nie brał udziału w kongresie, a nazwisko jego skreślono z listy członków komitetu wykonawczego.

*

W związku ze zjazdem białoruskiej partji komunistycznej w Mińsku prasa miejscowa podnosi, że rok temu wprowadzić miano urzędowanie w języku białoruskim. Tymczasem procesowi odbudowy narodowo-kulturalnej Białorusi staje na przeszkodzie szowinizm rosyjski.



W dniu 4 lipca oficerowie marynarki duńskiej z eskadry, przybyłej z wizytą do Gdyni, złożyli wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.



Największą sensacją w świecie sportowym jest zwycięstwo, odniesione przez angielskiego mistrza tenisu, Tildena, nad asem francuskim Borotrą.

*

W Finlandji dokonała się zmiana rządu pod hasłem walki z komunizmem.

*

Komisja wschodnia parlamentu Rzeszy przyjęła projekt ustawy o pomocy dla prowincyj wschodnich, przyczem uchwaliła rezolucję, aby z pomocy korzystać mogły tylko te wielkie gospodarstwa, które zatrudniają wyłącznie niemieckich, a nie polskich robotników sezonowych.

*

Rząd niemiecki powołał specjalnego komisarza do ustalania odszkodowań dla tych obywateli Rzeszy, którzy, posiadając przejęte przez rząd majątki w Polsce, ponieść mieli straty z tego tytułu. Na odszkodowania te przeznaczono 300 miljonów marek!

*

Świeżo ogłoszony artykuł Mussoliniego, a szczególnie deklaracja jego w sprawie konieczności przeprowadzenia rewizji traktatów, kazały przewidywać, że rząd faszystowski wysunie przy sposobności rozważania memorandum sprawę rewizji traktatów powojennych. Tymczasem nota rządu włoskiego nic o tem nie mówi. Zawiera ona drobiazgowe studjum projektu, lecz nic takiego coby zgóry przesądzało jego powodzenie z powodu, iż nie jest on sam przez się możliwy do zrealizowania. Natomiast odpowiedź Grandi'ego' nadesłana na Quai d'Orsay, porusza ciekawe zagadnienia. Po pierwsze sprawę absolutnej równości wszystkich narodów w kadrach organizmu federacyjnego. Rząd włoski pamięta, iż kilkakrotnie podczas konferencji morskiej w Londynie, właśnie delegaci włoscy bronili tezy pierwotnej o rozbrojeniu, tezy, którą podzielają Niemcy. Wiadomo, iż Liga narodów dopuściła do utworzenia się konsorcjum, składającego się z wielkich mocarstw, które zawładnęły radą Ligi i całem zgromadzeniem. Nie jest pożądane, aby ten eksperyment znowu się powtórzył, poza tem do federacji powinny mieć dostęp wszystkie państwa europejskie, należące do Ligi narodów, czyli innemi słowami pragnie, aby wstąpiły do niej Turcja i Rosja. W zakończeniu minister Grandi oświadcza iż rząd jego jest gotów wziąć udział w zebraniu, wyznaczonem na wrzesień w Genewie.

Nota włoska za podstawę federacji uważa przedewszystkiem ogólne rozbrojenie. Ten kąt widzenia jest oczywiście w sprzeczności z memorandum które opiera się na osławionym tryptyku Herriota: arbitraże, bezpieczeństwo, rozbrojenie. Więc może być jedynie konsekwencją dwu pierwszych warunków.

W ubiegłym tygodniu święcono 1000-lecie najstarszego parlamentu na świecie, z jakiego słynie Islandja. Na uroczystość przybyła królewską para duńska i premjer Thorhalssen.

*

Zawieszenie zapoczątkowanych rozmów francusko-niemieckich w sprawie ewakuacji Saary, zostało spowodowane niewyraźnemi propozycjami, jakie Niemcy przedstawiły Francji. Decyzja o przerwaniu rozmów jakoby miała być powzięta za zgodą obu kontrahentów, którzy w ten sposób uniknęli zerwania rokowań. Prawdopodobnie wznowienie rozmów nastąpi w październiku, o ile do tego czasu Rzesza będzie w możności sprawiedliwiej ocenić interesy Francji w Saarze.

*

Rozpoczęła się w tych dniach w Paryżu sesja mieszanego Trybunału rozjemczego polsko-niemieckiego, pod przewodnictwem p. Pawła Dachenal z Genewy z udziałem jako sędziów rozjemczych, prof. Namitkiewicza z Warszawy, oraz prof. Brunsa z Berlina. Na wokandzie figuruje sprawa kontraktów robotników polskich z pracodawcami niemieckimi.

Za kulisami pokoju i wojny

V.

28 czerwiec 1914 roku zapisał się ponuremi zgłoskami w historji świata. W dniu tym, na ulicach Serajewa, rozegrała się tragedja, która stała się zarzewiem krwawej walki narodów. Z rąk sfanatyzowanego Serba ginie następca tronu austrjackiego, arcyksiążę Ferdynand, wraz ze swą małżonką. Czyje ręce kierowały wykonaniem moderstwa, czyj mózg opracował ten szaleńczo-genjalny plan, wywołujący wojnę, niewiadomo? Wielki powojenny proces, na którego sędziów powołano wszystkie kulturalne narody świata, a na którym potępiono kilku przedwojennych dyplomatów i junkrów nie dosięgnął właściwego sprawcy.

Mord w Serajewie, był hasłem do rozpoczęcia całego szeregu demarches dyplomatycznych, z wyraźną i zgóry wyznaczoną tendencją do uderzenia w kotły wojenne. Jakiś djabelski genjusz, mistrz w grze na szachownicy dziejów ludzkości, z drobiazgową dokładnością przewidział wiele posunięć naprzód. Nie przewidział tylko końcowej rozgrywki. Strona atakująca, zkolei stała się napastowaną i otrzymała mata.

Dal ze artykuły poświęcimy opisowi wywiadu austrjackiego, który ze stanu pokojowego przeszedł w stan wojenny, zmobilizował się i z t. zwanego „Biura ewidencyjnego" i został zamieniony na wielki aparat wywiadowczy, stanowiący oczy i uszy armji. Uwzględniamy tutaj Austrję, ponieważ pozornie, ona rozpoczęła wojnę europejską, wysyłając swe dywizje na zdobycie Belgradu. I może to



Generał Seifi Pascha, szef oddziału wywiadowczego w naczelnem dowództwie tureckiem, podczas wojny.

jest paradoksem, że austrjackie biuro wywiadowcze, to, które trzymało rękę na pulsie wszelkich nacyj, sfederowanych pod berłem Habsburgów, a mające na celu tłumić wszelkie ruchy wolnościowe, niewygodne dla wiedeńskiego Burgu było najmniej przygotowane na wypadek wojny. Wywiad niemiecki i rosyjski już na dwa miesiące przed sierpniem 1914 roku znajdował się w okresie mobilizacji. Oficerowie wyznaczeni do poszczególnych dywizyj, korpusów i armij objęli swoje stanowiska, organizując aparat ofensywno - defensywny i przystosowując go do służby w polu. Ten moment zaskoczenia, tak ważny w strategji, a mogący zadać zdecydowaną klęskę przeciwnikowi, miał miejsce z austrjackiem biurem ewidencyjnem. Zbyt szczupły personel wykwalifikowanych oficerów w służbie wywiadu, wystarczył zaledwie na front serbski.

Z chwilą zaistnienia frontu rosyjskiego część wywiadu, z nad Driny, przerzucono na front północny. Garstka oficerów wywiadowczych stanęła oko w oko ze sprawnie funkcjonującym wywiadem rosyjskim, kierowanym sprawną ręką pułkownika Batiuszkina. Poniewczasie zaczęto przydzielać oficerów do służby wywiadowczej, organizować punkty koncentracyjne dla meldunków, werbować konfidentów i szpiegów. Nieprzyjaciel tymczasem, bogaty w materjały zdobyte w okresie przedwojennym, parł naprzód, wspomagany przez licznych konfidentów i wysuwając macki swego wywiadu daleko przed front. Nikt mu nie przeszkadzał myszkować wzdłuż całej Galicji. Defenzywa austrjacka, obarczona balastem laików w sprawach dotyczących obrony, była bezsilna. Dorywcze sukcesy, które nie należało przypisywać jej zdolnościom czy też systemom, ale raczej nierozważnej brawurze szpiegów rosyjskich, nie mogły być brane w rachubę, a tembardziej celowe. Brak sprężystej organizacji i wręcz się nieustannie nici łącznikowe, pomiędzy pododdziałami, a organem centralnym, wytwarzały niecpisane zamieszanie. Sprzeczne meldunki, fałszywe wiadomości, zresztą celowo i hojnie sączone przez bogaty w pomysły wywiad rosyjski, realizowały się w postaci klęski i niepowodzeń armji austrjackiej, w pierwszym okresie wojny, w Galicji wschodniej.

A przekształcenie biura ewidencyjnego w wywiad wojenny przedstawiało jednak ogrom celowej i koronkowej niemal roboty. Zorganizowanie punktów etapowych, obozow jeńców, cenzury poczty, telegrafu i telefonów oraz cenzury czasopism i książek wymagały legjonu specjalistów wojskowych, którzyby potrafili wyciągnąć najdalej idące korzyści z nieznacznych często drobiazgów. Drobiazgi te, w pewien systemat ujęte dostarczały walczącej armji i naczelnemu dowództwu nieocenione wiadomości. Nawet funkcjonarjusze Czerwonego Krzyża i siostry miłosierdzia, mogły wysuwać wnioski z gorączkowych szeptów rannych żołnierzy nieprzyjacielskich.

Dopiero objęcie kierowniczego stanowiska wywiadu wojskowego przy naczelnem dowództwie, przez generał-majora Max-Ronge poprawiło sytuację na lepsze. Nowomianowany szef, prócz czysto wojskowego systemu wywiadu, był zwolennikiem akcji politycznej. Miało to być kontaktem na polityczne sposoby Rosjan.

W pierwszym rzędzie, Max-Ronge zwrócił uwagę na żydów tak galicyjskich, jak i zamieszkałych po drugiej stronie granicy, którzy nienawidzili Rosję.

Na zjeździe rabinów galicyjskich w Budapeszcie, z cadykami z Sadogóry i Bełżca zapadła uchwała pomagania wojskom austro - niemieckim, przyczem wystosowane zostało tajne pismo do rabinów po tamtej stronie frontu, nawołujące do ścisłej współpracy. W żydach, zyskały państwa centralne wiernego sprzymierzeńca, ziejącego jadem nienawiści do Moskali.

Drugim czynnikiem, który Austrja chciała wykorzystać, to był patrjotyzm Polaków, oraz ich marzenia o zmartwychwstaniu Polski. Polska Partja Socjalistyczna, walcząca z podziemi przeciwko rządowi rosyjskiemu, wystąpiła jawnie w okresie mobilizacji powstrzymując chłopów i robotników od stawiania się do wojska rosyjskiego. Jednocześnie dnia 4 sierpnia wyruszyła garstka legjonistów polskich z Krakowa, przez Miechów i Jędrzejów do Kielc, chcąc w ten sposób powstrzymać mobilizację, oraz wzniecić powstanie przeciw Rosji. Na czele tego ruchu legjonowego prócz Józefa Piłsudskiego, stanęli: Daszyński, Śliwiński, dr. Trylowski oraz dr. Lewickij, przyczem dwaj ostatni, ze swej strony, organizowali legjon ukraiński. Werbunkiem ludzi, ekwipowaniem ich oraz częściowo uzbrojeniem zajął się utworzony w Krakowie „Naczelny Komitet Narodowy". Komitet nie spełnił należycie swej misji, ponieważ zatargi powstałe w jego łonie, na tle przekonań partyjnych społecznych oraz osobistych, koterje i koteryjki, żerujące na osobistych ambicjach wielu dygnitarzy komitetowych, paraliżowały najlepsze nawet poczynania.

Wypad polskiego oddziału, wgłąb Królestwa Kongresowego, nie odniósł również spodziewanego rezultatu, a to z tego powodu, że głównodowodzący armją rosyjską wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, ogłosił płomienną odezwę do Polaków, w której grając na ich uczuciach patrjotycznych, operując umiejętnie pięknie brzmiącemi zwrotami stylistyczno - uczuciowemi, roztoczył fatamorganę błyszczącej przyszłości. Brzęknął polskim mieczem z pod Grunwaldu, wyraził nadzieję, że jeszcze nie zardzewiała stal łamiąca krzyżackie szeregi, wcisnął w pięść polską jej własną przyszłość i wskazał wspólną drogę wraz „z matuszką Rosją". Wielki książę był dobrym psychologiem. Wiedział, że roztają polskie serca tak pochopne w owym czasie, na wszelkie majaki wolności. Jednocześnie ze swą wielkoduszną odezwą, wydał rozkaz rozstrzeliwania każdego wziętego do niewoli legjonistę, jako zdrajcy sprawy pansłowiańskiej. Zbieg tych dwóch ukazów nie był tak prosty jakby się wydawało. Rosjanie, którzy zbyt wiele nabroili w Kongresówce i którzy przez cały czas swych rządów zaskarbili sobie tylko nienawiść Polaków, teraz zaczęli się ich bać. Czuli, że w razie jakiejkolwiek ruchawki, stracą grunt pod nogami i armja rosyjska znajdzie się nagle w nieprzyjacielskim kraju. Jednakże wielki książę Mikołaj wygrał tę bitwę z Polakami. Odezwa wzbudziła niesłychany entuzjazm: mobilizacja, za wyjątkiem okręgów południowo - zachodnich odbywała się spokojnie; w Warszawie Gorczyński formował legjony polskie.

Szpiedzy rosyjscy przedostawali się w tym czasie z państw neutralnych do Austrji i tam wstępowali na ochotnika do legjonów. Ukrywali się tem skuteczniej, że legjoniści służyli przeważnie pod pseudonimami. Głośną była afera w roku 1915 w Wiedniu, gdzie w jednej z pierwszorzędnych restauracyj zdemaskowano szpiega rosyjskiego, nazwiskiem Michał Kon, a który paradował w mundurze oficera legjonowego. Jako członek rosyjskiej „ochrany" oddał prawdopodobnie wiele usług sztabowi rosyjskiemu. Nic jednak nie zdołano odkryć, ponieważ natychmiast po zdemaskowaniu, odebrał sobie życie w tejże restauracji.

Austrjackiej nieporadności, przeciwstawił wywiad rosyjski energiczną działalność, sięgając również w dziedzinę patrjotyzmu religijnego. Do tego celu wykorzystał zastępy księży, obrządku greckokatolickiego, których przygotował i wyszkolił dobrze przed wojną. Przy pomocy broszurek p. t. „Przeszłość Galicji", a oficjie drukowanych przez drukarnie 23-go i 24-go korpusu rosyjskiego, „uświadamiał" lud rusiński, który, według broszury, mógł znaleźć jedynie ratunek przed niewolą austrjacką w połączeniu z Ukrainą, pod berłem cara Wszechrosji. Agitacja rosyjska nie dała długo na siebie czekać. Pierwszym jej objawem było wysadzenie mostu kolejowego, na linji Tarnopol — Lwów, przez Rusinów. Powstał również „Komitet Wolnościowy Rusi Przykarpackiej", na czele którego stanęli Simon Łabęcki i Michał Sochocki. Komitet ten wysłał wiernopoddańcze pismo do cara, z prośbą o opiekę i o wyzwolenie z pod jarzma austrjackiego. (Kiedy w roku 1916, ofensywa rosyjska została złamana, a armja austrjacka zajęła zpowrotem całą Ruś Czerwoną, większość duchowieństwa ruskiego stanęło pod zarzutem zdrady głównej. 125 księży internowano w obozach jeńców, 25 skazano na śmierć).



Porucznik Rakarow, „naczelny" szpieg bułgarski podczas wojny.

Psychoza wojenna w roku 1914 była tak silnie rozwinięta, że najbłahszy powód dawał pochop do paniki. Psychoza ta była również dziełem wywiadu rosyjskiego, który jeszcze przed wojną, usłał sobie gniazda niemal w każdem miasteczku galicyjskiem. Zamieszanie, które stąd powstawało, utrudniało jeszcze bardziej pracę niefachowej defenzywie austrjackiej. Nieustanne aresztowania, powódź anonimów i brak jakiejkolwiek decyzji zwiększały grozę położenia.

Niefortunny ten okres zakończył się dopiero pochwyceniem w Rzeszowie samego pułkownika Batiuszkina, oraz w Katowicach kapitanowej Iwanowowej.

W tym czasie również wydarzył się fakt, którego inne może zakończenie nie doprowadziłoby do wypadków w Rosji, w roku 1917. Oto w Poroninie, pod Zakopanem, żandarmerja austrjacka zaaresztowała, pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji, Włodzimierza Iljicza Uljanowa — późniejszego Lenina. Uljanow nie wykaraskałby się z rąk wywiadu austrjackiego, gdyby nie poręka, złożona za nim przez socjalistów. Uljanow został zwolniony i wyjechał do Szwajcarji, skąd, jak wiadomo, w roku 1917 przejechał w zaplombowanym wagonie, do Rosji.

IMPRESJE TEATRALNE

TEATR NARODOWY: „Niebieski lis" Franciszka Herczega, komedja w 3 aktach. Reżyserja Janusza Warneckiego. Dekoracje Wincentego Drabika.

Są takie elegantki, które nawet przy największym upale nie wyjdą na ulicę bez „lisa". Więc i Teatr Narodowy także. Upał, że strach, a Teatr Narodowy wychodzi z „lisem" i to niebieskim, a w dodatku... odświeżanym, bo pamiętamy, jak za tym samym lisem, co obecnie p. Ćwiklińska, uganiała



P.p. Ćwiklińska i Różycki w „Niebieskim lisie".

się już kiedyś p. Gryficz-Mielewska.

Nie narzekamy wszelako. Pocieszamy się, że przecież mogło być i gorzej. W lecie nigdy nie wiadomo... A tu jednak sztuka z szeregiem świetnych aforyzmów i powiedzonek, niekiedy, zresztą, już znanych, ale czasami tak słusznych, jak np. „Biedna dziewczyna nie powinna niczego sobie odmawiać, należy się jej przecież jakie odszkodowanie...", albo takich ultra-delikatnych określeń, jak „Brała lekcje lotnictwa bez motoru i śruby", zamiast pewnego dosadnego czasownika.

Godzimy się również z p. Różyckim, gdy mówi: „mam wstręt do śniegowców". Nasz wstręt do tego rodzaju obuwia tłómaczy się tem, że szpeci nóżki niewieście, p. Różyckiemu zaś chodziło, zdaje się, o coś zgoła innego, mianowicie, o... lodowce... Trzeba jednak umieć te rzeczy odróżniać... P. Brydziński miał słuszność, że nie przejmował się zdradą małżonki, źle natomiast postąpił, że ożenił się po raz drugi.. Oczywiście, wpadł na dobre. „Czytajcie Wilde'a", jakby powiedział Shaw w „Mezaljansie". Natomiast p. Różycki przejmował się zdradą żony... przyjaciela, narobił bigosu i za karę musiał się potem z nią ożenić. Bardzo mu tak dobrze... Słowem, wszyscy zostali przykładnie ukarani, wykręcił się sianem tylko, pomawiany o wszystko najgorsze, p. Biegański. Tak, zresztą, zawsze bywa na tym świecie.

Wszyscy „powyżsi" grali świetnie, reżyserja bez zarzutu, dekoracje prześlicznie przemalowane.. ze starych.

*

TEATR LETNI. „Ciotka Karola", krotochwila w 3 aktach Brandona Thomasa. Reżyserja Emila Chaberskiego, dekoracje A.Aleksandrowicza

Mr. Brandon Thomas musi być bardzo bogatym człowiekiem. Grają mu tę sztukę i grają już od ćwierćwiecza na całej kuli ziemskiej niemal co lato. Co lato bo to nie sztuka na zimę. A w lecie, kiedy trzeba być bardzo ostrożnym ze sztukami, można... Więc jeżeli mr. Thomas nieustannie jeszcze pobiera tantjemę od tej sztuki, z pewnością jest już miljarderem. Może kto zna jego adres? Chodzi o drobnostkę: by mnie zaadoptował...

Naogół zaś sztuka porządnie już myszką trąci. Dwie młode panienki godzą się na odwiedzenie kawalerskiego mieszkanka, tylko pod warunkiem, że będzie tam obecna również i starsza ciotka jednego z dwóch zapraszających je studentów. No i jakże tu nie pękać ze śmiechu?... Mówi się, że teraz takie kiepskie czasy... Materjalnie, istotnie, przyznać muszę, nietęgo, ale moralnie, dalibóg, stokroć lepiej, niż dawniej. Niech żyje dziś. Chłopaczki ze sztuczki — cioteczki nie znaleźli, przebrali więc za nią kolegę. Szczęśliwym trafem kolegą tym okazał się Kurnakowicz. Możecie sobie Państwo, wyobrazić, co się działo. Ludziska kolek dostawali ze śmiechu... Artysta wielkiej miary z tego Kurnakowicza...

Inni byli tylko wdzięcznem tłem dla popisów Kurnakowicza. Udało się wszakże wyróżnić talentom Justjana i Orwida. Rozkosznie wyglądała Ankwiczówna, milutko grała Lenerówna a Zawadzka — i jedno, i drugie.

Henryk Liński.



P. Kurnakowicz, jako „Ciotka Karola" i p. Orwid, jako „konkurent".

WYGLĄD MIAST

(Dokończenie ze str. 2-ej).

umowne, co pozwoliło na nietracenie kontaktu duszy ludzkiej z czarem i kształcącym, uszlachetniającym wpływem sztuki, — uwydatniły i podkreśliły kulturę dziejowej gospodarki, zmusiły oczy do patrzenia dalej poza szyld potrzebnej w danym momencie firmy. „Zestetyzowały" otoczenie, w którem upływa życie, a przez to samo opromieniły ją niejako i nauczyły nie odzwyczajać oka od pojęć estetyki.

— — — — — — — — — — — — — — —

Warszawa miała swoich wandalów przeszło stulecie. Tym nie zależało wcale na podniesieniu poziomu dusz swoich niewolników. Wręcz przeciwnie. Zohydzono prawie wszystkie klasycznie dźwigane przez naszych byłych władców gmachy wschodniemi „ozdobami" — pozwolono na najpiekielniejsze orgje dorabiającemu się kapitałowi, zasłaniano skwapliwie przed oczami prawowitych właścicieli całe piękno stolicy, iżby nie przychodziły im do głowy wspomnienia o dawnej świetności i potędze. Ba! Miał to być „gubernialny gorod" i nic więcej! Stolica była tam — nad Newą, albo tam, śród niemieckich pól.

— — — — — — — — — — — — — — —

Potem, z uzyskaniem niepodległości, umęczona, wyczerpana stolica zbyt była zajęta sprawami najpilniejszej organizacji, by miała czas i siły myśleć o swoim wyglądzie.

Na szczęście, skończyły się czasy bied i nieszczęść. Państwo okrzepło, wzrosło, „odgryzło się" i dzisiaj całą parą idzie w promienistą przyszłość. Pomyślono więc i o tych nienajbłahszych sprawach. Powstał t. zw. „inspektorat artystyczny", zadaniem którego jest załatwianie wszelkich spraw, związanych z „zewnętrzną urbanistyką". Wszystko, co się znajduje nazewnątrz w stolicy, podlega jego kompetencji, począwszy od wyglądu gmachów, poprzez pomniki, parki, rzeźby, ulice — skończywszy na reklamie. A ta ostatnia przedstawia się okropnie w Warszawie. Dość spojrzeć na Nowy Świat i zobaczyć, jak są urządzone wszystkie prawie bez wyjątku sklepy na tej pierwszorzędnej arterji. Poprostu rozpacz! Dopiero teraz widać, co potrafi zrobić z ładnego miasta, pełnego dobrej architektury, okres zaniedbania, złej woli, lub ignorancji.

Praca nad naprawą zła będzie pracą ciężką. Przypomina się stajnia Augiasza... Ale jest to praca, do której można się zapalić i którą na serjo można polubić. Gdybyż tylko nieco zrozumienia ze strony obywateli, i poparcia ze strony władz, a zwłaszcza rządu!

Nie chodzi o pieniądze. Inspektorat artystyczny tak jest zorganizowany, że już dzisiaj nietylko że się utrzymuje, ale daje dochody, wielokrotnie przewyższające koszty jego utrzymania. Przy zamierzonym rozszerzaniu i propagowaniu da cztery razy tyle, co dzisiaj.

Chodzi o egzekutywę, chodzi o to, by mu dał w ręce nieco z praw władz administracyjnych. Uprości to i ułatwi, a przedewszystkiem wpłynie na tempo prac inspektoratu, a co zatem idzie i na szybszy skutek i efekt jego usiłowań.

Czy zrozumieją to władze? I czy orjentują się w wielkiem znaczeniu istnienia i pracy tej instytucji, co pokrótce tutaj starałem się wyłożyć? Wzywam wszystkich obywateli, którzy interesują się swojem miastem i jego sprawami, do wypowiedzenia się publicznego na ten temat.

Szczęśliwe miniatury

(Dokończenie ze str. 6-ej)

Dwaj kolekcjonerzy niejednakowo zareagowali na tę przykrą wiadomość; Sir Digby zsiniał ze wściekłości, łagodny zaś profesor po chwili spokojnego namysłu przypomniał sobie, że zauważył był, wchodząc do pałacyku, myszkującego pod oknami draba. — Myślałem, że to ogrodnik — objaśnił.

— Trzeba sprowadzić policję! — krzyczał Sir Digby. — Nie mamy sekundy do stracenia.

— Jużem po nią telefonował — skromnie wtrącił Franklin.

Profesor bystro obrzucił go spojrzeniem: wyraz twarzy młodzieńca nie spodobał mu się — jeszcze zaś mniej podobały mu się następujące jego słowa:

— Był pan jedyną osobą, która dziś była w błękitnym saloniku bez świadków. Pan profesor nie weźmie mi za złe, jeśli go poproszę wywrócić swe kieszenie?

Nastąpiło kłopotliwe milczenie.

— Czy to pański sekretarz? — zwrócił się Foxton do gospodarza.

— Nie, to mój lokaj.

— Naprawdę?... Jednakże ma on słuszność. Oto moje kieszenie.

To mówiąc, okazał zebranym ich wnętrze. Ani śladu minjatur.

— A pańska walizka? — uprzejmie poddał Franklin.

— Precz! — wrzasnął oburzony pan domu. — To zniewaga!

Ale wtem szanowny profesor błyskawicznym ruchem rzucił się ku oknu — zapóźno! Franklin już go trzymał w krzepkich swych ramionach.

— Puść... puśćże mię pan u licha. Nie będę uciekał. Ba, każdy miewa chwile niepowodzeń. Minjatury są za podszewką walizki. Czy to policja? oddaję się w ręce sprawiedliwości.

— Przypomniałem sobie jego twarz — tłumaczył Franklin Felicji. — W pierwszych miesiącach wojny wstąpił do naszego pułku na ochotnika, ale go wkrótce wyrzucono za jakąś kradzież.

Sir Digby wydał jakiś pomruk, mogący oznaczać wdzięczność albo zainteresowanie.

— Poczta, proszę jaśnie pana — oznajmił Moult, wchodząc do pokoju z tacą w ręku. Sir Digby jęknął, niecierpiał listów.

— Może pozwoli pan, że ja je przejrzę? — zaproponował Franklin.

Gdy w godzinę potem Felicja weszła do pracowni, ojciec jej dyktował szybko piszącemu je protegowanemu.

— Felicjo! — zawołał.

— Słucham, papo!

— Czy herbata gotowa?

— Tak jest.

— Każ Moultowi dodać jedno nakrycie — dla mego nowego sekretarza.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ARYTMOGRYF.

				1				
			2	3	4			
		5	6	7	8	9		
	5	10	11	12	5	10	3	
13	3	7	12	3	6	1	10	9
	14	12	3	15	5	10	3	
		10	9	5	16	9		
			17	10	17			
				3				

Cyfry zastąpić literami. Środkowy rząd pionowy utworzy nazwisko słynnego uczonego polskiego.

Znaczenie słów (poziomo):

1. Spółgłoska. 2. Pokój. 3. Deski teatralne. 4. Były premjer. 5. Kopalnia. 6. Zasłużony polak. 7. Odosobniona klasa. 8. Część ciała. 9. Samogłoska.

KWADRAT MAGICZNY.

Rekonstrukcja.

s				p
	r		w	
		b		
	w		l	
p				k

W puste kratki wstawić litery tak, aby utworzył się kwadrat magiczny, w którym wszystkie słowa czytają się w kierunku pionowym i poziomym.

Znaczenie słów:

1. Część budynku. 2. Roślina. 3. Ustępstwo. 4. Figury pewnego kształtu. 5. Były minister.

NAGRODY

Za rozwiązanie arytmogryfu oraz kwadratu magicznego z niniejszego n-ru przeznaczamy do rozlosowania jedną nagrodę w wysokości

25 zł. nagrody

oraz dwie nagrody w postaci książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 23 lipca b. r. Rozwiązania nadsyłać należy do Redakcji z napisem na kopercie: „Rozrywki umysłowe".

NAGRODY

za rozwiązanie metamorfoz z N-ru 25:

Nagrodę 25 zł. w wyniku losowania otrzymuje p. St. Jankowska, Łódź, ul. Zielona 57.

Nagrody książkowe przyznano pp. Marji Sipowiczowej, Łuniniec, ul. Homelska 9; Helenie Zembrzuskiej, p. Sieradz, Dębołęka; Kamilli Kamińskiej z Sulejówka.

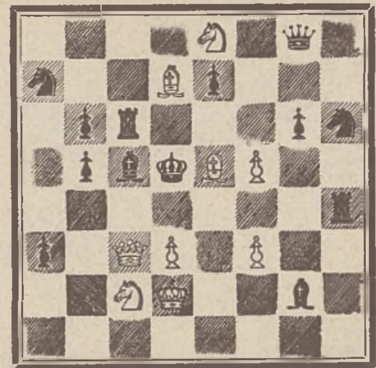
ROZWIĄZANIE KWADRATU MAGICZNEGO

z N-ru 26:

m	o	d	a
o	l	e	g
d	e	k	a
a	g	a	t

ZADANIE

S. Kamstra, Leeuwarden.



Mat w 2 posunięciach.



W miasteczku Sherman (st. Texas U. S.) został uwięziony za usiłowanie zgwałcenia białej kobiety — murzyn. George Hughes. Wobec tego, że władze odmówiły ludności wydania więźnia, którego chciano zlynchować — tłum podpalił budynek więzienia, i udaremniając akcję ratunkową — przypilnował, aby murzyn zginął w płomieniach.

Otrzymaliśmy przed paroma dniami fotografję, przysłaną — o jakże dziwnym zbiegiem okoliczności! — przez agencję amerykańską. Zdjęcie wyobraża, jak to czytelnicy widzą, zgliszcza domu, w którym spalono żywcem murzyna. *Spalono żywcem... W obecności 15 tysięcy mieszkańców* amerykańskiego (of course!) miasteczka Scherman w stanie Texas.

Fakt ten przypomina mi pewne zdarzenie, zaszłe podczas wojny, kiedy to trzej nawpół dzicy tuziemcy kirgiscy spalili żywcem kobietę za to, że zbyt chłodno, bez entuzjazmu, przyjmowała ich afekty. Postanowili ją „rozgrzać" i, oblawszy naftą — spalili. Przemoc wojenna... Psychoza... dzicz... Ponieśli zresztą zasłużoną karę, gdyż świadkowie tej strasznej zbrodni nie omieszkali złożyć odpowiedniego meldunku.

Inaczej natomiast rzecz się zakończyła w Texasie, gdzie prawo lynchu jest sankcjonowane przez niepisany kodeks. Fakt ten zresztą nie jest bynajmniej odosobniony, gdyż, jak głosi statystyka, zlynchowano w ciągu ostatnich 45 lat — 4.950 osób.

Oto pierwszy lepszy przykład podobnego samosądu. Pewien murzyn, zatrudniony na plantacji, nie otrzymywał w ciągu 2-ch lat zapłaty za pracę. Miał tego dosyć — i wniósł skargę do swoich chlebodawców. Murzyn protestuje?! Murzyn zabiera głos?! Śmiano się z niego, dokuczano mu i srodze pobito. Syn sponiewieranego murzyna postanowił zemścić się i, uzbroiwszy się w rewolwer, zastrzelił plantatora oraz ciężko zranił jego córkę, poczem uciekł do innego stanu. Złapano go i sprowadzono do stanu Missisipi, gdzie ludność odbiła więźnia i zlynchowała. Przywiązano nieszczęśliwego do słupa i zgromadzono dookoła stos suchych liści. „Śmierć nastąpiła po upływie dość długiego czasu — powiada współczesny sprawozdawca prasowy — skazaniec żył jeszcze, mimo, iż zwolna podsycany płomień dochodził do wysokości twarzy..."

O tem, do jakiego wyrafinowania posunięto te kaźnie, byleby męczarnie skazanych mogły trwać jak najdłużej — świadczy naiwne podanie pewnego murzyna, który pisze *in extremis:* „I wish of you, Gentlemen, would be Christian enough to cut my throat" (błagam was, gentlemeni, byście się okazali chrześcijanami i poderżnęli mi gardło).

Dokumentalne dzieło p. t. *„Rope and Faggot"* (Sznur i stos), wydane w New Yorku, zawiera szczegółowe opisy tych egzekucyj, których realizm mrozi doprawdy krew w żyłach. Poza stroną czysto kronikarską dzieło to zawiera cenne przyczynki, oświetlające zagadkę sankcjonowania prawa lynchu.

Dowiadujemy się przedewszystkiem, iż w latach 1918—1927 kaźniono 454 osoby, z których zaledwie 38 stanowią biali (przeważnie Włosi lub Meksykańczycy).

Sprawa ta ściśle wiąże się z charakterystycznym objawem dzikiej nienawiści, jaką mieszkańcy Stanów południowych żywią względem czarnych, wciąż jeszcze uważając murzynów za stado niewolników i odmawiając im wszelkich praw do życia. Z chwilą, kiedy w r. 1914 imigracja do Stanów Zjednoczonych została wstrzymana i w miarę rozrastania się przemysłu zabrakło rąk roboczych — czarni, zamieszkali na południu, skwapliwie poczęli wędrować na północ, gdzie spodziewali się lepszego, bardziej ludzkiego traktowania. Oczywistą jest rzeczą, że mieszkańcy południa, zaskoczeni tym faktem, który pozbawiał ich z dnia na dzień cennych sił roboczych — poczęli stosować najdziksze represje względem czarnych. Najmniejsze przewinienie pociągało za sobą karę chłosty, a bardziej winnych prowadzono na stos, rozrywano samochodami lub nawet szlachtowano, jak bydło.

Pozatem jeszcze zauważono dziwny objaw — oto bowiem, dzięki urobieniu opinji względem czarnych, iż wszyscy bez wyjątku są „czarnemi charakterami" i straszeniu nimi niewiast opowiadaniem fantastycznych historji na temat przedziwnego erotyzmu czarnych wilkołaków i satyrów — sprawa została przeniesiona na grunt zagadnień płciowych. A w wyniku tej kampanji, wyolbrzymionej przez gorliwych Ku Klux Klanistych i innych temu podobnych fanatyków, stwierdzono.. wzrost legalnie lub nielegalnie poczętych mulatów.

Sprawa zaostrza się w coraz większym stopniu. Ciągłe prześladowania obudziły wśród czarnej rasy dążenie do organizowania samoobrony. Czarni, będący niegdyś bezwolnem stadem, zdanem na łaskę lub niełaskę białych — stanowią dziś siłę, naród w narodzie, kierujący się odrębnemi interesami, odrębną polityką, a nadewszystko — nienawiścią do białych, swych tyranów.

Czarni — a liczba ich w Stanach Zjednoczonych wynosi 13 miljonów głów — dążą usilnie do zorganizowania się. Wielu z nich, którzy zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat doszli do posiadania dość znacznych majątków, poświęcają nie małe środki na cele publiczne. Działacze społeczni — wśród których nie brak, oczywista, i utopistów, jak naprzykład słynny Marcus Garvey — zdobywają sobie coraz większe zaufanie u swoich czarnych braci, a niektórzy z nich byli nawet — o dziwo — przyjęci w Białym Domu.

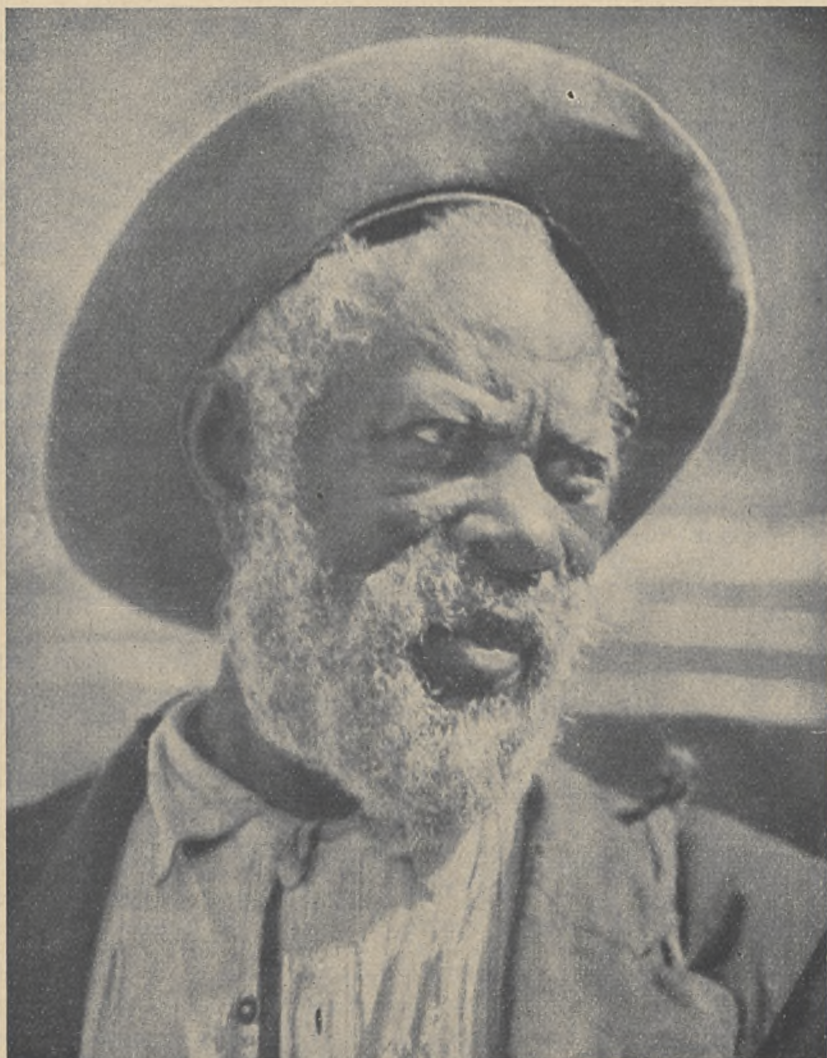
Tem niemniej, mimo, iż Amerykanie, pragnąc udowodnić przed światem cywilizowanym, że sprawa czarnej rasy traktowana jest z całym liberalizmem, jaki cechuje prawodawstwo Stanów Zjednoczonych, nie mogą oni zaprzeczyć, iż w największych miastach ,jak New York, Chicago lub Detroit, czarni muszą żyć w odosobnieniu, nie utrzymując żadnych stosunków z białymi.

Najbardziej bodaj charakterystycznym faktem jest to, że Amerykanie, przepadając za czarnymi aktorami i artystami kabaretowymi, nie uznają za możliwe, aby móc siedzieć obok czarnego w teatrze — nawet na paradyzie.

Konstytucja — konstytucją, a życie czyni swoje — nawet w Stanach Zjednoczonych, czego najlepszy dowód mamy w traktowaniu sprawy prohibicji — i w kolosalnym rozroście tajnego wyszynku alkoholu, o którym niejednokrotnie pisaliśmy.

Ktokolwiek miał sposobność przyjrzenia się układowi tych stosunków *blancs et noirs* — w Stanach Zjednoczonych i wysłuchania płomiennych oświadczeń o liberaliźmie amerykańskim, o tradycji wolności, uważanej za najwyższy cel ich polityki — musi wynieść przekonanie o tem, że wśród wielu specjalności, w których celują Amerykanie, hypokryzja zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

Co murzyn zawinił... że jest czarny?



Typ starego murzyna ze stanu Texas.

Jak nie należy spędzać wakacyj

Zatelefonowała do mnie Kunegunda Snobikowska. Zatelefonowała tak żałosnym głosem, prosząc, abym ją odwiedziła, że choć nie należy do moich sympatyj, nie mogłam jej odmówić. Zastałam Kunegundę w istotnie opłakanym stanie. Przyjęła mnie w swym dużym, nieprzytulnym salonie, pośród mebli w szarych pokrowcach, nawpół leżąc na szezlongu, pokrytym jakąś prowizoryczną derką. Ze ścian spoglądały ślepe ramy obrazów, owiniętych popstrzonym przez muchy muślinem. W powietrzu, przesyconem zapachem naftaliny, unosiły się figlarne roje młodych moli. Kunegunda powitała mnie bolesnym uśmiechem:

— Widzi pani, co się ze mną zrobiło?

Nie mogłam się zdobyć nawet na słowa konwencjonalnej pociechy, bowiem wyglądała pod każdym względem fatalnie. Ziemnista cera, podkrążone oczy, jakiś podejrzanie fioletowany odcień nosa i wreszcie, o zgrozo! Kunegunda przytyła znacznie, a właściwie rozlała się w sposób dziwnie nieestetyczny i nieforemny.

— Niepotrzebnie przyśpieszyła pani swój powrót do Warszawy, — powiedziałam z głupia frant, — widocznie stan pani wymagał dłuższej kuracji.

— Ach, pani złota, — westchnęła Snobikowska, — kiedy mi żaden klimat nie służy.

— Jakto, żaden klimat? — zgłupiałam doszczętnie.

— A tak, zachwalano nam tak Krynicę, więc wybraliśmy się tam całą paczką, my, młodzi Gapscy i Brzuchalski, ten gruby dyrektor, co tak świetnie gra w bridge'a. No i niech pani sobie wyobrazi, że od rana do nocy, a nieraz do drugiego rana, był bridge z jednym wychodzącym. Czasami nasi panowie grywali we trójkę, a ja i Milusia Gapska szłyśmy na dancing, ale wtedy to się kończyło jeszcze później.

— No, to nie warto było jechać do Krynicy, żeby tam grać w bridge'a, przecież i w Warszawie nic robicie państwo nic innego — wtrąciłam.

— A nie, mój mąż i dyrektor twierdzili, że w Warszawie przeszkadzają im zajęcia zawodowe, przestrzeń, telefony etc... W Krynicy mieszkaliśmy w jednym pensjonacie, na jednym korytarzu, więc można się było odpowiednio skupić.

— No, a kuracja, kąpiele, zabiegi?

— Widzi pani — stropiła się Kunegunda, — myśmy o tem właściwie myśleli, ale że trzeba stać w ogonku, no i nieraz wcześnie wstać, więc zawsze odkładaliśmy na potem, tymczasem mnie zupełnie serjo rozbolała wątroba... Krynica stanowczo mi szkodziła.

— Krynica?

— A bo weszło w zwyczaj, że wygrywający stawiał kolację z szampanem, a dyrektor, wielki smakosz, wybierał zawsze jakieś niezwykłe skomplikowane dania. W końcu ktoś nam opowiedział, że w Zakopanem lepiej i zdrowiej karmią, więc pojechaliśmy tam. Dyrektor, oczywiście, z nami bo twierdził, że lepszej partji nigdzie nie znajdzie. Gapscy zostali, bo Milusia trafiła na świetnego tancerza, który nie mógł wyjechać z Krynicy, gdyż miał kontrakt z kasynem na cały sezon. Wszystkieśmy jej tego tancerza zazdrościły. Ale w Zakopanem dostałam jeszcze lepszego — murzyna.

— Murzyna?!...

— Tak, niech pani sobie wyobrazi, prawdziwego, czarnego murzyna, — zawołała nagle, ożywiając się, Snobikowska. — Ach, jak on tańczył!... Jak on przyciskał!... I wie pani, po kilku przetańczonych nocach robił mi rabat, jako dobrej, stałej klijentce. Kosztowało to, bo kosztowało, ale co za rozkosz! Wszystkie paniusie z Warszawy pękały z zazdrości, skapiradła przebrzydłe.

— Widzę, że taki murzyn to mógłby pani sobą przysłonić wszystkie góry Zakopanego.

— A pewnie, pewnie ,nawet nie wiedziałam, że wogóle są jakie góry.

— No, a jakże reagował na tego murzyna mecenas Snobikowski?

— Ach, nie ma pani pojęcia, jacy ci mężczyźni niewyrozumiali; żadnego wyższego polotu, żadnego umiłowania egzotyzmu, uznania dla rzeczy wielkich... Zarówno mój mąż, jak Brzuchalski, nie mogli znosić mego ślicznego Jimmy i ze złości zapijali się likierami. Musiałam im ,oczywiście, dotrzymywać towarzystwa, zwłaszcza, że Jimmy przepadał za likierem.

— No, a wątroba?

— Ach, lepiej nie wspominać... i wątroba, i serce... Bo to przy likierach wypijało się morze czarnej kawy. Przytem Jimmy palił opiumowane papierosy, więc i ja z miłości dla niego. Zresztą, jak mnie miało nie boleć serce, kiedy cudnego murzynka, mego wiatronogiego Jimmy, odebrała mi ruda, amerykańska żydówka, zapłaciwszy za wyłączną używalność. Wiem, że Jimmy'emu było bardzo przykro, ale „business is business", powiedział mi smutno na pożegnanie. Chciałam dać babie odstępnego, ale mąż, tyran, uparł się, jak prawdziwy osioł i zapowiedział, że dość już wydał pieniędzy na moje czarne brewerje i że nie da z siebie zrobić skończonego warjata. Nie mogłam patrzeć na mego Jimma w objęciach tej megery, ani dłużej znosić despotyzmu mego legalnego władcy i wyjechałam na wieś, do cioci Matyldy.

— To przemiła starsza dama, ta pani ciocia, — wtrąciłam, — i słyszałam, że ma majątek w prześlicznej okolicy.

— Ciocia jest naprawdę złota i kochana, — zgodziła się Kunegunda, — ale co do okolicy, to nie wiem, bo prawie nie wychodziłam z mego pokoju. Ciocia, widząc, że jestem smutna i zdenerwowana, sama nie wiedziała, jak ma mi dogodzić. Sama przynosiła mi do łóżka świeżo upieczone bułeczki, kawę ze śmietanką, z grubym na palec kożuszkiem i różne wiejskie smakołyki, o których tu w mieście ludzie nie mają pojęcia. Było mi tam spokojnie, ale nudno, więc wstawałam z łóżka dopiero do obiadu, a w nocy pisałam długie listy do Jima i paliłam je na świecy. Raz omal nie wywołałam w ten sposób pożaru. Po dwóch tygodniach zjechali do nas mąż i dyrektor, spłókani doszczętnie.

— Bój się Boga, babo! Toś się roztyła! — tak brzmiał wykrzyknik powitalny mego pana i władcy. Nie, żeby z takim brutalnym cynizmem rzucić kobiecie w oczy tak straszną obelgę, na to trzeba być naprawdę mężczyzną i do tego mężem, — zawołała Kunegunda patetycznie.

— Rzeczywiście, to conajmniej niedelikatnie, — przytaknęłam, znudzona tą litanją skarg i jęków, — no i jakże pani na to zareagowała?

— Momentalnie poprosiłam o konie i wróciłam do Warszawy, zostawiając męża na placu boju. Zapowiedział mi na pożegnanie, że obaj, z dyrektorem myślą posiedzieć na wsi czas dłuższy, bo pobyt tam nic nie kosztuje, wikt dobry, a do bridge'a jest ciocia Matylda i ksiądz proboszcz. Zostawiłam ich przy butelce domowego wiśniaku, wyrobu cioci

Ostry dzwonek przerwał żałosne wynurzenia Kunegundy i do salonu wpadła Lala Bywalska. Nie odrazu ją poznałam. Zamiast wykrygowanej, warszawskiej laleczki, o zmiętej pod warstwą pudru i różu cerze i przygasłem zmęczonem spojrzeniu, stała przede mną opalona wiejska dziewczyna, o brzoskwiniowej skórze i oczach błyszczących, jak gwiazdy Wszystko w niej było inne i zamiast dawnego nerwowego trzepotania — ruchy zdecydowane i sprężyste. Głos, zwykle zawoalowany lekką skrzypką zmęczenia, teraz brzmiał dźwięcznie i wesoło. Cała postać aż tchnęła młodością i zdrowiem. Zdawało się, że z jej przyjściem ożywiły się senne ściany i że się już nie widzi obrazów i mebli, spowitych w śmiertelne całuny, tylko złote promienie letniego słońca, wdzierające się przez niedokładnie spuszczone rolety.

— Na miłość boską, Lalu! — zawołałyśmy jednocześnie, ja i Kunegunda, — wyjaw nam tajemnicę podobnego wyglądu. Czy to małpie gruczoły?

— Aha, — śmiała się Lala, błyskając olśniewająco białemi, przy śniadej cerze i pąsowych wargach, zębami. — Właśnie, że nic wam nie powiem. Konajcie z ciekawości!

Konałyśmy rzeczywiście.

— Bądź co bądź, byłaś czas jakich w Krynicy, — rzekła Snobikowska — widziałam cię parę razy na deptaku.

— A byłam, — potwierdziła Lala, — ale nie siedziałam, jak ty, przy zielonym stoliku i nie trąbiłam co wieczór szampitra.

— A cóż tam można więcej robić? — powiedziała pogardliwie Kunegunda.

— Bardzo wiele rzeczy. Przedewszystkiem przeprowadzałam systematycznie poleconą mi kurację. Brałam wanny, piłam wody, chodziłam na słoneczne kąpiele. To mnie z początku tak wyczerpywało, że musiałam dużo leżeć. Kiedy już się wzmocniłam, grywałam codzień przed południem w tennisa, a po obiedzie chodziłam na dalsze spacery. Kiedy pogoda nie dopisała, odbywały się w naszym pensjonacie szalone tańce, ale zawsze z tem wyliczeniem, żeby o godzinie dziesiątej wszyscy byli w łóżkach. Oboje z mężem stosowaliśmy się ściśle do przepisanej djety: dużo mleka i owoców, mało mięsa. O istnieniu alkoholu, nikotyny i czarnej kawy postanowiliśmy oboje zapomnieć. W rezultacie, po miesięcznym pobycie w Krynicy, byliśmy nie do poznania.

— Mój Boże, a ja ledwie dwa tygodnie zdołałam tam wysiedzieć, — westchnęła Kunegunda.

— Mybyśmy chętnie zabawili dłużej, — zapewniała Lala, — ale mąż miał zaledwie sześć tygodni urlopu, więc chcieliśmy je jaknajwszechstronniej wykorzystać. Więc wpadliśmy do Zakopanego i zrobiliśmy wycieczkę w góry. Byliśmy tam przeszło dwie doby, wróciliśmy czarni, jak słynny fordanser murzyński — Jim.

— Och,—jęknęła Kunegunda, podnosząc rękę do serca. Lala rzuciła na nią zdziwione spojrzenie i mówiła dalej:

— Resztę urlopu spędziliśmy na wsi u braterstwa. Bratowa właśnie powróciła z dzieciakami z Gdyni, gdzie miesiąc żyła, jak dziki człowiek, siedząc to w wodzie, to na piasku. Kłóciłyśmy się o to, która z nas czarniejsza. Zjechało do nich sporo młodzieży. Humory mieliśmy bajeczne, nie mogliśmy chwilki usiedzieć w miejscu. Ciągłe wycieczki łódkami, jazda drabiniakiem, próby grabienia siana ku rozpaczy ekonoma, konna jazda, tańce, flirt... słowem raj na ziemi. Tylko brat mój, mający bzika na punkcie higjeny, przestrzegał dwóch rzeczy: nie podawania alkoholu pod żadną postacią i wczesnego chodzenia spać.

— Wnosząc ze skutków, jest to bardzo pożyteczny bzik, — rzekłam, patrząc na Lalę z nietajoną zazdrością. — Czemu nie pozostałaś dłużej na wsi, gdy ci tam było dobrze?

— Nie chciałam skazywać męża na samotne wdychanie warszawskiego kurzu. Zresztą i tu mamy świetną obronę przeciwko nudom i zaduchowi miejskiej kanikuły. Natychmiast po skończonych zajęciach jedziemy oboje na przystań wioślarską, wsiadamy w łódkę et vogue la nacelle. Ja przytem nieraz chodzę z rana na kąpiel słoneczną, no i kąpię się w Wiśle. Nie macie pojęcia, jak to odchudza. Mam dwie kuzynki, które wcale nie wyjeżdżały z Warszawy, tylko systematycznie uczęszczały na przystań, brały lekcje pływania i wiosłowały w osadach, i powiadam wam ,że wyglądają nie gorzej ode mnie. Bo widzicie, moje drogie, — dodała sentencjonalnie, — nie chodzi o to *gdzie* się spędzi lato, lecz o to, *jak* się go spędza. Higjena to wielka rzecz.

Well.



GEORGE M. SAVILLE.

Pocałunek



Pusto już było w salach lyońskiego muzeum. Zmrok zapadał na dobre. Za chwilę woźni przejdą po gmachu, ostrzegając ostatnich, zapóźnionych gości o zamknięciu.

W sali pompejańskiej pozostały jeszcze dwie osoby. Ona — młoda mężatka, Irena Guarry, żona znanego przemysłowca i on — Henryk Dubail, adwokat.

Czyżby ich do takiego stopnia interesowały antyczne wykopaliska, że przeszło od godziny tu siedzą? Bynajmniej — nie patrzą nawet na nie, pochłonięci rozmową, i mimo, że starają się ochronić przed niedyskrecją przygodnych amatorów sztuki, którzyby zaszli do sali, głos Ireny podnosi się i zrywa w dramatycznych akordach — jakgdyby broniła swojej sprawy przed sądem.

— Jedno nam tylko pozostało uczciwe rozwiązanie lecz obawiam się, że nie starczy ci odwagi, aby obrać tę drogę...

Adwokat ujął jej dłoń w swoje ręce i wpatrując się badawczo w oczy pięknej Ireny, szepnął z wyrzutem:

— Wiem, co chcesz powiedzieć — chcesz ze mną uciec i ukrywać się, jakgdybyśmy byli zbrodniarzami... Czyżbyś to nazwała uczciwem?

— Mówisz do mnie jak prawnik, który zwykł stosować do każdego czynu formułkę kodeksu. A może uważasz, że uczciwszem jest okłamywać codziennie człowieka, który, zapewne, z punktu widzenia prawnego jest moim mężem — ale go nienawidzę... Czyż nie jest to silniejsze ponad wszystko? Czyż miłość nasza nie jest więcej warta?

Argument ten wszelako nie przekonał adwokata. Był niewzruszony.

— Zgadzam się z tobą, jeśli chodzi o moją osobę, ale podobne wyjście nie może ci odpowiadać, a zatem i szczęścia nam nie zapewni.

Irena nie słuchała. Dotknięta jego stanowczością, śpieszyła ku wyjściu. I nie zwracając uwagi na obecność woźnych — płakała.

Chłodne, przenikające powietrze jesienne uspokoiło ją. Przystanęła na szerokich schodach, i... mój Boże, jak każda kobieta, pomyślała o tem, że z pewnością znać ślady łez na jej twarzy. Pośpieszyła więc wyjąć z woreczka puszek, przypudrowała czubek nosa i ruszyła dalej, całkiem już opanowana. Na najbliższym rogu odnalazła przed jednym z licznie odwiedzanych magazynów elegancką swą limuzynę i kazała się zawieźć do domu.

Irena Guarry była jedną z najpiękniejszych dam lyońskich, kobieto za którą wszyscy się oglądali, nie mogąc się oprzeć czarowi jej urody. Nikomuby do głowy nie przyszło, że wytworna ta dama była w stolicy skromniusią nauczycielką, zapracowaną od rana do wieczora, wyczerpującą walką o byt, o chleb ubogich — bez masła. Jedynym ideałem, dla którego żyła, był młody student, Dubail, i wszyscy, co się z nimi stykali, byli przekonani, iż skoro tylko ukochany zostanie adwokatem — pobiorą się. Któżby mógł jednak przypuścić, że Irena zostanie żoną dobrze już ruszonego zębem czasu mężczyzny? I to tak nagle, niespodziewanie... Wyjechała któregoś dnia ze stolicy i już nie powróciła, gdyż poślubiwszy bogatego przemysłowca lyońskiego, Guarry'ego, przy nim już pozostała.

Kiedy to się wszystko stało — nikt nie wiedział, a gdy wróciła po roku do stolicy, we wszystkich domach, w tych, nawet, w których bywała, jako uboga nauczycielka, o niej tylko mówiono.

Zawojowała wszystkich — i wszyscy nie mogli wyjść z podziwu, że szczęśliwcem, co posiadł ów skarb, jest „starszy pan", nieprzyjemny w obejściu, mrożący.

— *Quel veinard!* — mówiono z zawiścią, spoglądając na niedobraną parę.

— Zobaczymy, co z tego wyjdzie — pocieszali się inni.

A piękne panie — nic nie mówiły, bo mimo wysiłków, nie mogły znaleźć cienia na zachowanie się Ireny, a o urodzie jej — rzecz prosta — wolały nie wspominać.

I gdy po paru latach, kiedy zdawało się, że nic nie zdoła zamącić szczęśliwego życia Ireny — Henryk Dubail przybył do Lyonu, a za nim stugębna fama o niezwykłych jego sukcesach, jako adwokata, w Paryżu.

Nie mogła nie spotkać się z nim. Bywał wszędzie —poszukiwany i honorowany, i, niestety—nie mogła nie przypomnieć sobie owych dni, kiedy tylko o nim marzyła, kiedy był jedynym celem jej życia. Naprożno starała się opanować — a wkrótce już, jeśliby ktokolwiek baczniej śledził Irenę — mógłby ją spotkać w muzeum, gdzie od pewnego czasu bywała codziennie z Henrykiem.

Czyż można było przedłużać tę fałszywą sytuację? I to gdzie jeszcze — w Lyonie, w tem mieście, gdzie niczego nie uda się ukryć w tajemnicy.

On sam zwrócił jej na to uwagę, dziś właśnie, przed godziną, a gdy mu zaproponowała, że wszystko poświęci i pójdzie za nim w świat — on, ukochany — odmówił. Wolał usunąć się, spróbować zapomnieć, skazać ją na pożycie z człowiekiem, którego nie kocha.

Właśnie zajeżdża przed dom. Za chwilę ujrzy „starszego pana", usłyszy jego zrzędzenie i znów będzie musiała nagiąć się nietylko do obowiązkowej, zdawkowej grzeczności, ale grac rolę kochającej żony...

Opanowała się jednak. Szkoła życia zrobiła swoje. Weszła do hallu — z uśmiechem, lecz odrazu straciła równowagę, gdy usłyszała podniesiony głos swego męża, dochodzący aż tu — z gabinetu.

— Pytam się, gdzie podziałeś klucze? — krzyczał z pasją. — Czyż naprawdę będę zmuszony włamywać się przez ciebie do własnego biurka? Cóż to za osioł!...

Irena pośpieszyła na pomoc nieszczęsnemu Janowi.

— Co się stało, Karolu? — zapytała od progu.

— Ten idiota zgubił gdzieś moje klucze...

Irena skinęła na służącego, a gdy zniknął za drzwiami — zwróciła się do męża i próbowała go uspokoić.

— Jakżeż możesz tak się unosić, Karolu! Poszukaj dobrze, a nuż schowałeś klucze do kieszeni lub może sam gdzieś je podziałeś?

— Cóż ci przyszło do głowy? Czy myślisz, że szukałbym kluczy, gdybym je miał w kieszeni?

— Popatrz no jeszcze raz — zrób to dla mnie, kochanie...

— Chyba że dla ciebie...

— Pozwól, a może ja sama...

To mówiąc, sięgnęła do kieszeni od kamizelki, przejrzała jedną — nic, a z drugiej wyciągnęła zgubę.

— Musiałem ominąć tę kieszeń — mruknął niechętnie i zażenowany odwrócił się ku bibljotece.

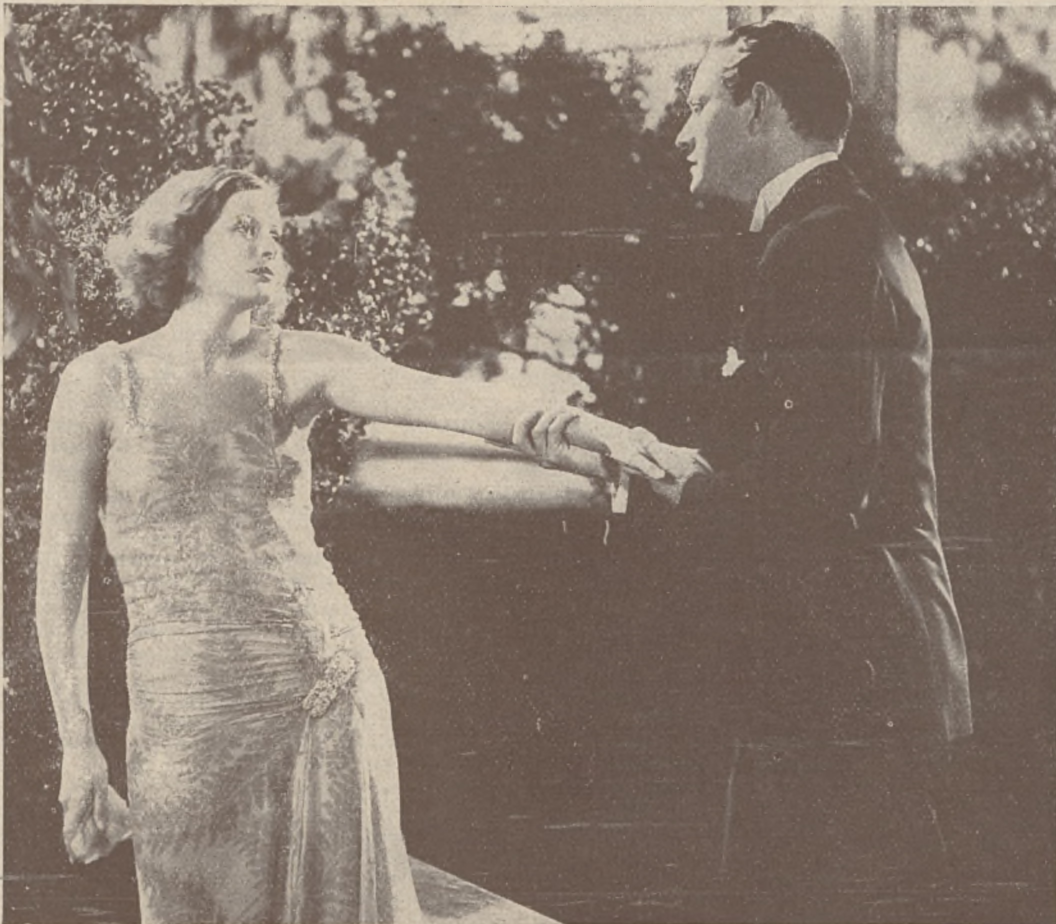
Irena uśmiechnęła się łagodnie. Znała na wylot „starszego pana"...

— A nie zapomnij przebrać się na ten obiad u Lassale'ów — rzuciła, wychodząc z pokoju.

W godzinę później punktualny i metodyczny, jak zawsze, był gotów do wyjścia i czekał na żonę.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

— Kto tam?



...A więc mnie kochasz?!...

(fot. Metro).

— Niejaki p. Durant, proszę jaśnie pana — usłyszał głos Jana z drugiej strony.

— Durant?... Niech wejdzie!

Do pokoju wślizgnął się człowieczek niepokaźny i przystanął na progu z uszanowaniem.

— No, co takiego? — zapytał Guarry z godnością. — Masz pan poważne wiadomości?

— Przyszedłem z raportem — rzekł Durant przyciszonym głosem. — Śledziłem pilnie — no, i znalazłem...

— Dawaj pan ten raport — przerwał mu sucho przemysłowiec.

Detektyw wyciągnął z kieszeni notatnik i zabrał się do czytania:

— „12 września. Rozpocząłem obserwację za panią Guarry od domu i odprowadziłem na wystawę psów...

— Dobrze, ale wiem o tem bez pana — rzucił nerwowo Guarry — nic nowego. Trzeba panu wiedzieć, że pani Guarry wystawia swoje dwa psy. Czyżbym miał płacić panu za podobne informacje?

— Momencik, proszę pana. Pani spotkała pewną osobę na wystawie.

— I niejedną zapewne! Ale o kim pan mówi?

— Osobą tą jest pan Piotr Lassalle. Pani Guarry przywitała się z nazwaną osobą bardzo serdecznie i po chwili opuściła wystawę w jego towarzystwie. Stamtąd udali się do składu gramofonów i kupili kilka płyt...

— Więc to ma być wszystko? Dowiedz się pan, iż Lasalle jest niczem innem, jak młodym, durnym podrostkiem, który ma jeszcze studja przed sobą. Czyżby pan przypuszczał, że moja żona flirtuje z tym smarkaczem?

— Nie śmiem tego twierdzić, proszę pana, pozwolę sobie jednak zauważyć, iż spełniam wiernie to, co mi pan rozkazał.

— Kazałem panu obserwować mężczyzn, a nie młokosów. Może się pan do mnie nie fatygować z podobnemi błahostkami.

— Pozwolę sobie jednak zauważyć, że należą mi się pieniądze...

— Masz pan! — rzekł Guarry, rzucając parę banknotów na stół. — Zabieraj pan to i pamiętaj, żeby mi nie zawracać głowy. Płacę, ale za poważną robotę.

Durant skwapliwie schował pieniądze do kieszeni i wycofał się z pokoju w głębokich ukłonach.

Ledwo zamknęły się drzwi za detektywem — a weszła Irena, piękna i powabna, w wytwornej toalecie wieczorowej.

— Ready? — zawołała wesoło.

— Proszę bardzo — już...

— No, to chodźmy, bo już późno, a Pierre Lasalle jeszcze się rozpłacze, gdy nie ujrzy mnie. Pomyśli, że zrobiliśmy zawód jego rodzicom.

Guarry roześmiał się na wspomnienie o młodym człowieku.

— Gotowa jesteś wyprowadzić mnie z równowagi przez tego malca...

— Zawsze się dziwiłam, jak to się stało, że jeszcze nie jesteś zazdrosny o niego — odparła wesoło Irena, zadowolona, że „starszy pan" jest w dobrym humorze.

Cała elita lyońska zebrała się u Lassale'ów. Irena spostrzegła wśród ciżby gości Henryka, którego kilku przemysłowców otoczyło zwartem kołem, słuchając skwapliwie każdego jego słowa.

Za chwilę wszyscy przeszli do sali jadalnej. Irena zajęła honorowe miejsce obok gospodarza domu. Z drugiej strony stołu siedział Pierre.

— Co pani zrobiła z moim synem — rzekł Lassale, zwracając się do Ireny. — Całemi dniami mówi nam tylko o pani...

— To bardzo miły chłopak — odparła Irena — i doprawdy będę żałowała, że wkrótce wyjedzie do szkoły. Świetnie bawiliśmy się z nim przez całe lato.

— Dobrze mu zrobi szkolny régime. Cieszy mnie że znowu znajdzie się w otoczeniu rówieśników. Niech sobie pani wyobrazi, że mały na serjo zakochał się w pani.

Na serjo... Czyż można brać na serjo miłość takiego malca?

— Niech mi pani wierzy — wyznał Lassale z powagą — że pierwsza miłość jest bodaj głębszem uczuciem od późniejszych afektów — najsmutniejszym okresem w życiu.

Przypomniała sobie rozmowę z Dubail'em. — Czyż każde uczucie miłosne nie przynosi smutku? — pomyślała przez chwilę. Wnet jednak opanowała się, unikając wszakże utkwionego na niej wzroku Henryka.

Po obiedzie rozpoczęto tańce. Wieczór był ciepły i kilka par kręciło się na tarasie. Pierre, tańcząc z Ireną również postarał się wyślizgnąć z salonu, gdyż można było swobodniej rozmawiać.

— Czyby pani nie zechciała przejść się po parku? — zaproponował.

Irena spostrzegła właśnie Henryka, stojącego we framudze drzwi. Oczy ich spotkały się. Zrozumiała, że i on pragnąłby z nią się rozmówić.

— Doskonale! — odpowiedziała Pierre'owi. — Chodźmy...

Pierre podał jej ramię. Przechodząc obok Dubail'a rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie.

Zeszli ze schodów.

— Nie powiem, żeby tu było tak ciepło — zauważyła, przystając — Pierre, proszę mi przynieść jakąś narzutkę.

Młodzieniec pobiegł posłusznie do pokojów, a Dubail, zrozumiawszy manewr, zbliżył się pośpiesznie.

— Poco przyszedłeś? — zapytała Irena, gdy odeszli nieco dalej i skryli się w cieniu drzew.

— Pragnąłem właśnie spotkać się z tobą jeszcze raz...?

— A więc kochasz mnie?... Widzisz, że trudno nam się rozstać....

Czy kochał? — namiętnie porwał ją w swoje objęcia i szukał jej ust. Połączyli się w długim pocałunku. Irena pierwsza przyszła do siebie.

— Chodźmy już lepiej... Ten malec jest tak zakochany, i zazdrosny, że gotów nas wytropić. Wracaj, kochanie, inną ścieżką, a ja pójdę prosto.

Na schodach czekał na nią Pierre, zaniepokojony.

— Już chciałeś mnie szukać Piotrusiu? — spytała wesoło, — Ale wiesz, przekonałam się, że i w narzutce będzie chłodno. Chodźmy tańczyć.

(d. c. n.)

Największa śluza na świecie

(Od własnego korespondenta).

Rotterdam, w czerwcu.

Piękny spędziliśmy dzień na pokładzie luksusowego statku *Oldenvarnebelt*. Płynęliśmy powoli kanałem, poprzedzani przez torpedowiec i dwa kontrtorpedowce, które dawały gęste salwy z armat, nad nami szalone ewolucje odbywała eskadra lotnicza, a na wybrzeżach morze flag narodowych i tłumy odświętnie ubranej publiczności.

Płyniemy... Na pomoście kapitańskim stoi królowa z następczynią tronu, księciem konsortem i liczną świtą. Na pokładach ciżba cylindrów... I mimo obowiązującej etykiety gwarno zachowują się ci wszyscy uczestnicy podróży — gwarno i wesoło, albowiem jedziemy przyjrzeć się dziełu wiekopomnemu, które własnym wysiłkiem i sumptem tworzył naród holenderski, jedziemy na otwarcie największej śluzy na świecie pod Ymuiden.

Kilka cyfr da czytelnikowi możność zorjentowania się, jak wielką jest ta śluza, którą budowano w przeciągu kilku lat, z inicjatywy osobistej królowej.

Wymiary — 400 m. długości, 50 m. szerokości i 15 m. głębokości — znacznie przewyższają uważane dotychczas za największe śluzy na kanale Panamskim i na kanale Kilońskim. Zużyto do jej budowy 20 milj. m. sześc. piasku, 225.000 m. sześc. żelbetonu, 15.500 pali i 3.500 desek. Potrójne wrota zbudowane w Rotterdamie, zawierają 1184 tonn żelaza, komory zaś mają pojemność 1.400 m. sześc. Wydatkowano 19 i pół milj. florenów, z czego 9.500.000 na jeden żelbeton.

Śluza pod Ymuiden jest zaledwie początkowym etapem jeszcze większego dzieła, jakie zostanie dokonane w najbliższej przyszłości — doprowadzenie głębokości kanału do 15 m., co umożliwi nawigację największym okrętom, choćby 60 tys. tonowym (największa holenderska jednostka handlowa — *Statendam* ma 32.000 ton).

Ceremonjał sam odbył się z nadzwyczajną prostotą. Dopłynęliśmy około południa do wrót śluzy wśród pieśni tysięcy wychowanków szkół ludowych zebranych na wybrzeżu. Aż nagle — wszystko ucichło. Królowa przemawia przez mikrofon. Po niej słyszymy ministra wód. Wszyscy słuchają w skupieniu. Każde słowo, dzięki megafonom, dochodzi do uszu zebranych, na falach eteru przemówienia rozchodzą się po całym świecie. I znów cisza — królowa naciska guzik elektryczny — wrota rozwierają się powoli, a statek nasz majestatycznie wypływa na pełne morze.

Uroczystość wywarła głębokie wrażenie na obecnych, — spotęgowane siłą kontrastu: królowej, słabej kobiety i największej śluzy na świecie, dzieła wiekopomnego, o którem marzono od dawien dawna, jako o podwalinie nowej ery świetności dla miasta Amsterdamu.

Wypływamy na pełne morze ,a tam — na wybrzeżu, długo jeszcze tłumy będą podziwiać ogrom dokonanej pracy, z której istotnie mogą być dumni.

JERZY KOPERSKI.

MEDALJON BERYL

(Dokończenie)

VI.

Stosownie do swego planu, kapitan począł oddalać się od rzeki, zataczając łuk, którego cięciwą była Satledz i jej przedłużenie Indus. Celem jego obecnie była kamienista dolina Gandlagama. O ile, cudem zdołali złoczyńcy, korzystając z dobrego przygotowania samochodu przebyć trudny teren aż do Gandlagamy, tu stanowczo muszą się go pozbyć. Zarazem przyszła mu szczęśliwa myśl do głowy. Rezygnując z samolotu w Lahorze, wysłał w naprędce zbitej tratwie, sepoy'a z prądem Indusu do Karaczy, opatrzywszy go listem, w którym podał sklecony przez siebie plan sytuacyjny. Wychodząc z założenia, że Beryl uwożą w kierunku na Kandahar, nakreślił trójkąt, którego wierzchołkiem była dolina Gandalagama, podstawę tworzyła linja, łącząca Kelat i Kandahar.

To uczyniwszy ruszył w drogę.

Przed nim leżał kraj kamienisty, w którym trzeba się było dobrze mieć na baczności, nierzadko bowiem można było się natknąć na tygrysa. Po kilkunastu godzinach dotarli wreszcie do małej wioski. Złożona z okrągłych chat trzcinowych o spiczastych chrustowych daszkach, robiła zdala wrażenie uli. Pośrodku, odwiecznym zwyczajem, stała, większa trochę od innych, chata naczelnika wsi i sędziego miejscowego w jednej osobie. Frank skierował się ku tej właśnie chacie, wiedząc, że spotka się z życzliwem przyjęciem, mieszkał w niej bowiem oddany mu szczerze Hindus, którego za cenę dziesięciu rupji uwolnił od strasznej kary annundale *) z rąk chciwego poborcy podatków. Nic więc dziwnego, że Karam wyszedł na spotkanie dostojnego gościa a chyląc się w głębokim ukłonie przykładał rękę do czoła.

— Witaj szlachetny panie. Oby słońce twych dni nigdy nie zaszło, a wielki Kama **) stale gościł twem sercu.

— Witaj, Karamie! Serce moje pełne jest radości, że widzę cię przed sobą, radość jednak moja stłumiona jest wielkim smutkiem — odparł Frank wchodząc do wnętrza domu.

— Słuchaj, Karamie, muszę dostać trzy dobre wierzchowce — rzekł major. Przyszło mu bowiem do głowy, że dotychczasowy środek lokomocji jest zbyt powolny, a kto wie, czy szybkość rumaka nie ocali całej sprawy.

— To trudna będzie sprawa, Sahibie. Najlepsze trzy konie musiałem niedawno sprzedać — a wiesz, że jesteśmy biedni. Może we wsi znajdziesz jeszcze dwa...

Frank skoczył. Tknięty przeczuciem chwycił Hindusa za ramiona i wstrząsając nim krzyknął:

— Jeżeli ci życie miłe, mów natychmiast, komu sprzedałeś te konie, mów.

Przerażony Hindus milczał. Kapitan zreflektował się. Poznał, że drogą tą nic nie uzyska.

— Słuchaj, ten który uratował cię od nieszczęścia, jest w wielkiem smutku, możesz dopomóc mu jeśli powiesz komu sprzedałeś te konie.

Zawisł oczami na ustach Karama.

— Przysiągłem na święte wody Gangesa, że nikomu nie zdradzę, sam wiesz, takiej przysięgi nie złamie nikt, kto nie chce, żeby dusza jego wiecznie błądziła...

— Ja ci powiem — krzyknął kapitan — sprzedałeś konie ludziom, którzy przybyli tu maszyną lecącą bez koni, była z nimi biała kobieta?

Chwilka, dzieląca go od odpowiedzi, była torturą dla Franka.

— Rzekłeś, Sahibie!

Na te słowa kapitan zerwał się. Nie panując już zgoła nad sobą, skoczył do wyjścia.

— Za mną — rozkazał, — pokażesz mi miejsce gdzie ona stoi.

Nie był zdolny do trzeźwego rozmawiania. Fala radości zalała mu serce. Teraz gdy ma już ślad niezbity, znajdzie napewno łotrów, którzy porwali mu narzeczoną, jego najdroższą Beryl, słońce i radość jego życia.

Okazało się, że dzieliło ich od owego miejsca około dwu kilometrów. Przebyli je jednym tchem. Ukryty śród krzewów, stał opuszczony, zakurzony automobil. Wiało od niego grozą i tajemnicą. Kapitan obiegł samochód wokoło, wreszcie silnem szarpnięciem otworzył drzwiczki. Pustka, straszliwa pustka obojętnie patrzyła ku niemu poduszkami swych siedzeń, owalem okienka, błyskiem drążka do nóg, jedynemi świadkami przygód Beryl. Nerwo przeszukiwał każdy zakątek w nadziei znalezienia znaku po Beryl. Napróżno! Złamany nieszczęściem siadł na poduszkach kryjąc twarz w dłoniach.

— O Beryl, jedyna, jestże to możliwe, żebyś nic dla mnie tu nie zostawiła?

Podniósł głowę. Ujrzał znękaną twarz człowieka, na której troska i smutek wyryły swe piętno.

Nagle zamarł w bezruchu. Obłędnie rozszerzone jego oczy, dzikim jakimś błyskiem wpatrzyły się w lśniący prostokąt.

Ostrożnie, jakby bojąc się, żeby szelest jaki nie rozwiał ułudy, ssunął się na kolana — oczami przywarł do szybki.

Drżącą widać ręką w pośpiechu kreślone odczytał drobne rysy:

— Beryl Collings — ratunku Dawnpur.

Kapitan Frank E. Corpenter jęknął. Tak jęknąć może tylko człowiek, który śmiertelny w pierś otrzyma cios.

Beryl Collings była w ręku Thugów.

VII.

W głębokiej ciszy porannej, donośnie rozlegał się tętent dwu koni. Ogarnięty rozpaczą, pędził kapitan, z wiernym Akharem, a w duszy jego szalało piekło. Dawnpur, wiedział — był to niedostępny zamek Thugów. — Kto raz tu się dostanie, ten przepadł na wieki.

— Ocal, Panie Wszechmogący, nie daj zginąć niewinnej — modlił się żarliwie kapłan. Z modlitwą spływała mu na zbolałą duszę pewność, że Beryl nie zginie, choćby kosztem jego życia.

Po kilku godzinach jazdy, wpatrzone w ziemię w nadzieji znalezienia śladów oczy kapitana dostrzegły mały błyszczący przedmiot. Spodziewał się tego. Był to medaljon Beryl. szybko go otworzył. Wyjrzała ku niemu: uśmiechnięta twarzyczka dziewczęcia i... skurcz bolesny ścisnął mu serce. Zrozumiał wszystko odrazu.

— Mej ukochanej Beryl — Jim.

— Sahib—przemówił milczący Akhar, wstrzymując konia — tam, samolot!

Frank podniósł głowę. Daleko na widnokręgu, jak mała muszka, u stropu niebios zawieszona, płynął aeroplan.

— Czy aby nas dostrzeże — zatroskał się stary sierżant.

Samolot jednak szybko zdążał w ich kierunku. Nie minęło kilka chwil, był nad ich głowami. Zniżając ciekawie lot na widok samotnych jeźdźców, począł zataczać kręgi. Frank zasygnalizował Morse'em „ląduj".

Pędem dobiegł do podskakującego jeszcze po nierównościach gruntu aparatu.

— Tu kapitan Corpenter.

Obydwaj piloci wymienil swe nazwiska. Wylecieli z Kelat, na zwykły wywiad, nic o przeżyciach kapitana nie wiedzieli.

— Panowie, na miłość boską, niema chwili do stracenia — przed nami Thugowie uwożą córkę jenerała Collings'a, moją była narzeczoną — przemówił z trudem — pomóżcie!

— Ależ, sir, jest to nawet naszym obowiązkiem. Co mamy zrobić?

— Trzeba natychmiast zawiadomić dowódcę w Kelat, żeby wysłał oddział wojska w kierunku na rzekę Indus...

— O, to będzie bardzo łatwo, sir — rzekł porucznik Jobson — mamy ze sobą radjo-stację.

W chwilę potem oddział 50 ludzi szykował się w Kelat do wymarszu.

— Co dalej, sir?

— Muszę lecieć z wami, może uda się nam dostrzec gdzie łotrów.

— All right, Jobson, zostaniesz — rzekł drugi oficer.

Już widać było zdala błyszczącą wstęgę Indusu, gdy uzbrojone w lornetę oczy Franka spostrzegły uciekinierów.

Ruchem ręki dał znak do lądowania. Niestety, los widać chciał mu dać pełną czarę goryczy, licznie rozsiane bowiem bloki kamienne czyniły to wręcz niemożliwem. Usiłowali jednak nie stracić ich z oczu. Thugowie zaniepokojeni zjawieniem się samolotu, spieszyli do przeprawy. Na drugiem brzegu widniał gęsty las, a w nim bezpieczna kryjówka. Niewiedzieli, że pędzą wprost w sidła.

VIII.

Drżąca ze szczęścia, złożyła Beryl swą jasną główkę na piersiach Franka.

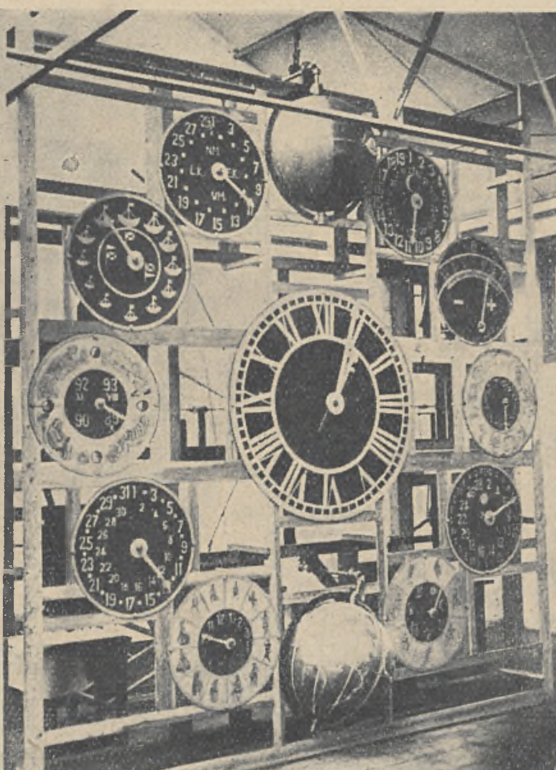
Powoli, milcząc, podał jej medaljon.

Podniosła ku niemu swe duże niebieskie oczy.

— Frank, w godzinę, gdy czułam, jak anioł śmierci roztaczał nademną swe czarne skrzydła, zrozumiałam, że kocham tylko ciebie...

*) Narzędzie tortur do ściskania rąk i nóg.
**) Kama — bóg miłości.

TO, TAMTO I OWO

W Liège, w Belgji, został skonstruowany uniwersalny zegar na t. zw. wieży Korneljusza, pokazujący prócz godziny według południka w Greenwich, dnie, miesiące, lata, zmiany księżyca oraz przypływy i odpływy morza.

MUZEUM CYRKOWE W BERLINIE.

Znany oddawna cyrk Buscha w Berlinie, ma być zamieniony na music-hall. Właścicielka cyrku, Paula Busch, chcąc zachować pamięć o jego pierwotnym charakterze, ma zamiar utworzyć w tym budynku muzeum cyrkowe. Pomiędzy innemi znajdować się tam będą reprodukcje znakomitych starożytnych cyrków, kostjumy i liczne portrety artystów oraz afisze, programy i temu podobne przedmioty.

Jeden z byłych artystów cyrkowych z Hamburga, Erwin Schrizmer, wespół z artystami całego świata, gromadzi zbiory, które tworzyć będą podstawę tego niezwykłego muzeum.

MAKBET W OŚWIETLENIU ANGIELSKIEGO PSYCHJATRY.

Doktór Somerville, członek londyńskiego towarzystwa medycznego, opublikował na łamach „Richards Press" dziełko o szaleństwie w sztukach Szekspira. Jeden z bohaterów tragedji szekspirowskich, król Makbet, jest zdaniem dr. Somerville, typem paranoika, szczególnie niebezpiecznym, jako człowiek, opętany manją prześladowczą, ze skłonnościami do morderstwa. Gotów jest on mordować wszystkich tych, którzy w chorej jego wyobraźni wydają mu się wrogami. Zabija ich nie z chęci morderstwa, lecz dla obrony własnej, będąc przekonanym, że gdy tego nie uczyni, zostanie sam zamordowany.

DWA MILJONY KSIĄŻEK SKAZANYCH NA ZAGŁADĘ.

Prawo przymusowej zamiany w języku tureckim alfabetu arabskiego na łaciński, wywołało katastrofę na rynku księgarskim, rujnując wydawców, zwłaszcza tych, którzy mieli duże zapasy książek, drukowanych arabskiemi literami.

Sprzedaż tych książek jest teraz zakazana i, jak donoszą, w Konstantynopolu przeszło dwa miljony książek, pomiędzy któremi znajdują się znakomite dzieła, mają być sprzedane jako makulatura. Księgarze i autorzy chcą się zwrócić do Rządu z prośbą o wynagrozenie im szkód, spowodowanych tem rozporządzeniem, lecz czy to odniesie skutek i kiedy?

Wśród książek, skazanych na zagładę znajdują się dzieła dawnych i współczesnych tureckich i arabskich pisarzy, mające wielką wartość literacką. Przedruk tych wszystkich dzieł czcionkami łacińskiemi wymagałby pracy iście Herkulesowej, zresztą w Turcji obecnej, zaledwie nadążyć mogą z drukowaniem podręczników, dla szkół początkowych.

ZMODERNIZOWANI INDJANIE.

Indjanie, szczepu Osaga, zamieszkali w Stanie Oklahoma, Ameryki Północnej, odkryli przed kilku laty olbrzymie przestrzenie pól naftowych i powierzyli ich eksploatację wykwalifikowanym w tej specjalności agentom.

Jakkolwiek ci ostatni bez skrupułów przywłaszczali sobie lwią część dorobku, jednakże prawi właściciele tych terenów wzbogacili się niepomiernie. Jeden z nich odwiedził niedawno pewnego dostojnika amerykańskiego i zajechał przed jego dom we wspaniałem aucie, eskortowanem tuzinem równie wspaniałych acz pustych aut.

— Czy te wszystkie auta należą do Pana? — spytał go dostojnik. — Tak jest, — odpowiedział z dumą Indjanin, — Jestem posiadaczem największej ilości aut w całem plemieniu.

Bogaci Indjanie, plemienia Osaga, pysznią się wielce z posiadanych aut i szczytem ich marzeń to pobicie rekordu ich ilości. Dowodem największego szyku, to spacer w asyście wszystkich własnych aut. Dzięki tej ambicji przemysł automobilowy u nich kwitnie.

Coby to było, gdyby ta moda przyjęła się u nas?

Wśród książek

Pitigrilli — Pas Cnoty — Wydawnictwo Alfa Warszawa. Str. 262 + 2 nlb.

(Recenzja dyskusyjna).

Obok innych są tu dwa, poprostu znakomite opowiadania: „Biedne psisko" i „Stuletni staruszek". Niedługie to nowelki — to twory wielkiego, śmiałego talentu, kipiące rozmachem słowa, ironji i satyry. Są przytem zajmujące, bardzo zajmujące... i pouczające. Dowiadujemy się — zresztą bez zdziwienia, gdyż talent ich autora nie podlega sporom — że Pitigrilli może i umie obejść się bez pseudo - głębokich erotyzmów, silno - wulgarnych określeń, słowem bez tego, co jest — to także nie podlega sporom — mimo wszystko tylko pikanterją i tylko sensacją. Ale Pitigrilli nie byłby sobą, a jego bezgraniczna (choć często wesoła) złośliwość nie byłaby zadowolona, gdyby nawet tak doskonale za siebie mówiącej noweli, jaką jest wspomniany „Stuletni staruszek" nie opatrzył swą oryginalną, widocznie już niezbędną pieczątką. Napis na tej pieczątce brzmi dosłownie: „**Ważne ostrzeżenie.** Nowela ta nie jest dla panien". A wiecie dlaczego nie jest dla panien: bo jest „bez kazirodztwa i bez cudzołóstwa". Dosyć. Mądrej głowie dość dwie słowie.

Nie jestem wprawdzie w dzisiejszych ciężkich czasach powojennej pustoty i lekkomyślności zdeklarowanym optymistą, ale jeśliby w życiu istniało tylko **to** i tylko **tak**, jak to widzi i przedstawia Pitigrilli, to wolałbym tego życia wogóle nie oglądać. Rzecz w tem, że autor „Pasa Cnoty", znakomity artysta, równie jednak często traci poczucie miary. A tego przecie artyście czynić nie wolno. Odwieczne nakazy Piękna od wieków brzmią jednakowo i nikt ich ani nie przeinaczy, ani nie obali. A właśnie niektóre utwory Pitigrilli'ego grzeszą bardzo, ale to bardzo jaskrawo przeciw poczuciu i nakazom Piękna („Ale cię nie dotknę", „Oszukaj mnie dobrze" i t. d.), co, oczywiście, Pięknu nie szkodzi, ale tym utworem bardzo. — i sądzę, że nie ominę się z prawdą, jeśli stwierdzę, że zuchwały ton i zuchwałe słowo (czytaj brutalne albo trywjalne) tych, na szczęście, nie wszystkich utworów zaimponować może tylko w pierwszej chwili i to chyba tylko małokrytycznym umysłom.

Lecz Pitigrilli jest modny. Ot... signum temporis. I rzecz właśnie w tem, że nie „Biedne psisko", nie „Stuletni staruszek", lecz właśnie „Ale cię nie dotknę" najwięcej pono znajdują wielbicieli. osamotnione? Pitigrilli, powtarzam, jest modny, i A może jest inaczej? Może zdanie moje nie jest warto o nim dyskutować, bezwzględnie warto, nawet z większem zainteresowaniem, niż nad modnem tango. **Wiktor Przecławski.**

NIEWYSŁOWIONĄ PRZYJEMNOŚĆ DAJE PODRÓŻ POWIETRZNA POZOSTAWIAJĄC NIEZATARTE WRAŻENIE.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ JERZY RADLICZ

Na wysokości 4.100 m.





Dwaj przewodnicy szwajcarscy — Couttet i Chartet — wraz z młodym amerykaninem z Bostonu, niejakim Washburnem, dotarli do jednego z najwyższych szczytów alpejskich, położonego na wysokości 4100 metrów nad poz. morza.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35, Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.